十三.

Gawędy o dawnym obyczaju

WYBÓR CIEKAWYCH PAMIĘTNIKÓW
XVIII. i XIX. STULECIA

POD REDAKCJĄ

STANISŁAWA WASYLEWSKIEO

TOM V.

SPRAWY PONURE

LWÓW—POZNAŃ 1922
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

SPRAWY PONURE

OBRAZY Z KRONIK SĄDOWYCH WIEKU OŚWIECENIA

ZEBRAŁ I PRZEDMOWĘ NAPISAŁ
STANISŁAW WASYLEWSKI

LWÓW—POZNAŃ 1922
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

ODBITO W DRUKARNI „PORADNIKA GOSPODARSKIEGO" W POZNANIU

Obraz obyczajów wieku oświecenia nie byłby zupełny, gdyby słuchać tylko dykteryjek na asamblach, a nie odwiedzić — sali sądowej. Gdyby nie sięgnąć do aktów grodzkich i trybunalskich, do manifestów i ksiąg oblaty oraz nie spojrzeć w oblicze — zbrodniarzy. Grzeczny i gładki człowiek rokoka unikał tego wyrazu i brzydził się nim. Niezawsze gwoli moralności. Bo jeśli nierównie mniej bliźnich swoich uśmiercił, niż jego dziad z czasów saskich, to tylko przeto, iż miecza nie nosił, rękę miał miękką i bał się: bowiem w bijatyce mogła mu się snadnie poburzyć kunsztowna peruka. Występki jego były też pudrowane i niezawsze, niestety, podlegały karze wieży, główszczyzny lub mutylacji członków. Zresztą poszerzające się światło cywilizacji łagodziło obyczaje. Stanisławowskie „Prawem i lewem“ nie objęłoby dwóch tak potwornych tomów.

Lecz jeśli czasem zdarzyło się, że na pierwotną i dziką duszę rebeljanta padły i przyjęły się cyniczne hasła wieku, wyrastał typ niesłychany, większą przejmujący grozą, niż tamci.

Bo któż przesunie się za chwilę przed nami?

Rinaldini wieku 18-tego, kryjący pod mitrą książęcą duszę korsarza i etykę średniowiecznego drapieżcy —

furjatka z temperamentem Lukrecji Borgia, która w piwnicy swego zamku każe uciąć głowę szlachcicowi, bo ją śmiał rozgniewać —

obłąkana dewotka, paląca ze słowami modlitwy na ustach czternaście bab ze swej wsi podejrzanych o czary —

głupi fanfaron dopuszczający się w kościele łuckim wstrętnego świętokradztwa w przekonaniu, że służy jak najlepiej ideałom racjonalizmu —

albo inne typy, ofiary przesądu i ciemnej sprawiedliwości: Wołodkowicz bezprawnie justyfikowany, panienka, „dobrze urodzona i niewinna" w obawie grożących jej tortur, przyznająca się do hańbiącej, a niepopełnionej zbrodni, zakonnica, prababka Barbary Ubryk, zamurowana w klasztorze lubelskim i przez orły napoleońskie wyzwolona...

Innemi słowy: figury i sytuacje z zeszytowych romansów, z mrocznych odmętów kryminalizmu. Lecz nie poznać ich winy i kary, mimo wszelką wątpliwą czasem przyjemność tej znajomości, znaczyłoby nie wiedzieć wszystkiej prawdy o epoce!

Rzecz w tem, aby istygatorowie i obżałowani, czyli oskarzyciele i obwinieni sami przemówili, aby trybunał i przewód sądowy 18 wieku odtworzyć we współczesnym słowie i dokumencie, w autentycznym kolorycie i atmosferze. Niezawsze było to możliwe. Obok ściśle współczesnych relacyj (sprawa Niemirycza, zabójców Wyleżyńskiego, Wołodkowicza), które wprowadzą czytelnika in medias res *postępowania sądowego przed setką lat wraz z straszliwym wymiarem kary i tortur, trzeba, w braku innych, zadowolić się relacjami wtórnemi. A więc sprawę biednego Czeszejki opowie Lucjan Siemieński (trzymając się wiernie „opowiadań pewnej wiekowej osoby, która w młodości swej znała dobrze dwór białokamieniecki i wiedziała na palcach najdrob-*

niejsze szczegóły, odnoszące się do tej brzydkiej awantury"). O czarownicach doruchowskich zezna po latach świadek, ale w formie na pół beletrystycznej, egzekucję Makowskiego opisze historyk Wawel-Louis wedle aktów sądowych, nakoniec wiadomość o zamurowanej zakonnicy, pobałamuconą przez K. Wł. Woycickiego, odtworzono na podstawie pamiętników współczesnych. O grabieżach Marcina Lubomirskiego pisał kiedyś niedokładnie Wł. Chomętowski, tu woleliśmy raczej skorzystać z źródłowych badań archiwalnych historyka dr. W. Mejbauma.

Uzupełniają tom dwa ustępy z innej dziedziny, które są również „sprawami ponuremi", choć w zgoła innem, nie kryminalnem znaczeniu. Ponurą podwójnie jest sprawa zamachu na Stanisława Augusta (podana w dwu opisach, wedle Kitowicza i wedle rozprawy dr. Wł. Ostrożyńskiego), ponurą przedewszystkiem dlatego, że hańbiący wyrok padł na głowę Kazimierza Pułaskiego; rozjaśnia ją chyba jeden moment przepiękny: wspaniała mowa króla w obronie spiskowców. Ponurą sprawą w owem innem znaczeniu była też rzeź humańska, podana w przejmującej grozą relacji Mładanowicza.

Niezaszczytnym dokumentem dla wieku XVIII jest ten tom „Gawęd". Wszelako jedna okoliczność łagodzi sprawę: na drugi tom nie starczyłoby materjału!..

STANISŁAW WASYLEWSKI.

ZBRODNIA
WOJEWODZINY WILEŃSKIEJ

Głośną była w Koronie i Litwie, czasu pierwszego podziału Polski, sprawa wojewodziny wileńskiej, Katarzyny z Rzewuskich Radziwiłłowej, drugiej żony ks. Panie Kochanku, a córki zesłanego do Kaługi senatora, która w r. 1772 kazała w lochach swego zamku w Białym Kamieniu bez sądu, a tylko na podstawie bezprawnej „majdeburji" — uciąć głowę szlachcicowi. Co było powodem zbrodni? Czy „plotki", rozsiewane przez skazanego, a uwłaczające i tak zszarganej czci wojewodziny, czy rankor do małżonka, przelany na jego sługę — niewiadomo dokładnie. Nie dochowały się akta sądowe tej sprawy, ani też liczne manifesty, ogłaszane przez rodzinę ofiary. Są tylko krótkie relacje w pamiętnikach współczesnych, oraz jedyna obszerniejsza opowieść L. S.(iemieńskiego), rzecz „oparta na opowiadaniu wiekowej osoby, która w młodości swojej znała dobrze dwór wojewodziny i wiedziała najdrobniejsze szczegóły, odnoszące się do tej brzydkiej awantury". Opowieść uzupełniają tu inne relacje współczesne, częstokroć różne w przedstawieniu sprawy, a świadczące, jak odmienne krążyły o zbrodni wersje.

* * *

Księżna, panna z hetmańskiego domu, wszedłszy w związek małżeński z księciem Panie Kochanku, nie najchętniej dzieliła burzliwe chwile życia swojego małżonka; bo kiedy ten uganiał się po Litwie, lub zagranicą przebywał, ona bawiła najczęściej w Warszawie, w najlepszej z dworem komitywie. Powiadano nawet, że jakieś sekrety czy listy swego małżonka zakomunikowała królowi, co miało dać powód do separacji.

Księżna od czasu poróżnienia się, przesiadywała jeśli nie w stolicy, to w Białym Kamieniu, który to klucz przyniosła z sobą w posagu. Pani jeszcze młoda, majętna, pyszna rodem i koligacją, a w uczuciu wyższości nad wszystko, co ją otaczało, niedbająca na sąd świata, puściła na oślep wodze namiętnościom. Mury białokamienieckie, gdyby mogły, opowiedziałyby niejedną scenę z zamkowego życia; owe ubieganie się różnych kawalerów o fawor pani, owe intrygi, słodkie liściki i szepty, owe konfuzje odprawionych z niczem gachów i triumfy tych, co pozyskali łaskę. — Nowomodna Penelope tem się różniła od Ulissesowej małżonki, że wielbicieli swoich, którzy prawdziwy najazd zrobili na Biały Kamień, nie przywodziła do rozpaczy długim terminem. Przeciwnie wszystko to byli jeńcy, przykuci do jej wozu łańcuchami róż i posłuszni słodkiemu jarzmu miłości. — Nierzadkie też były w zamku huczne biesiady i kapele z tańcami, a gości tylu zjeżdżało z pachołkami, końmi i psiarnią, że ich pomieścić nie

mogły izby zamkowe i niejeden oficjalista i mieszczanin ustępować musiał dla panów gachów swoich szczupłych stancyjek.

Pod taką właśnie porę wysłał był bawiący w Preszowie z Konfederacją Radziwiłł koniuszego swego Czeszejkę na rozwiady. Zjechał był właśnie pan Czeszejko do Białego Kamienia, a zjechał z ważnemi poleceniami swego pana i ważniejszemi od generalności. Jeden i drugi stary sługa poznał go, choć to było pod wieczór, i uprowadziwszy na bok, wygadał, co ciężyło na sercu. Czeszejko kiwał głową i zakręcał wąsa, a jakby jeszcze niedowierzał, pytał, co na to panna Salomea mówi? — Panna Salomea, powiadano mu, przemówiła się podobnoś z księżną panią, chciała nawet odjechać do swoich, ale pani tupnęła nogą i rzekła w gniewie: „Sto łóz, jeżeli się ruszysz!“ — Teraz nieboga nie wychyla oczu z garderoby, chyba tyle, żeby pójść na mszę i Panu Bogu utrapienie swoje ofiarować.

Wysłuchawszy relacji, kazał się pan Czeszejko zaprowadzić do garderoby. Panna Salomea, wchodzącego posłyszawszy, krzyknęła i stanęła, jak karmazyn. Słowa przemówić nie mogła z wielkiego wzruszenia na widok osoby, z którą ją łączył afekt. Trzeba bowiem wiedzieć, iż od kilku lat byli z sobą zaręczeni, ale związek nie przychodził do skutku z powodu konfederackich rozruchów i wyjazdu księcia wojewody zagranicę. Pan Czeszejko, przysiadłszy do niej, rozmawiał długo, nietylko o sprawach afektu do niej, ale i o tem, co się tyczyło trybu życia księżnej pani. Łatwo dorozumieć się, iż wszystko, co wstyd panieński pozwalał powiedzieć, było na stole. Jako swojemu narzeczonemu zwierzyła się panna Salomea z ciężkich utrapień, jaki

musiała znosić od księżnej, a nareszcie z zamiaru opuszczenia tej Sodomy choćby w jednej koszuli. Na to pan Czeszejko uspokajał płaczącą, że tym bezeceństwom będzie koniec. „W ostatecznym razie — rzekł — jeżeli mi się nie uda spełnić poleceń księcia pana, przynajmniej ciebie, panno Salomeo, usunę od zgorszenia“.

Ledwie tych słów domówił, kiedy w pokojach dało się słyszeć mocne dzwonienie, a niebawem i stąpanie nagle biegnących osób. Jak postrzelone wpadły do izby, jedna po drugiej dwie garderobianki.

— Panno Salomeo! — wołały — Księżna pani powiada, że tu jest jakiś pan, który ma natychmiast stawić się przed Jejmością księżną.

— Gotówem na usługi — rzekł pan Czeszejko i mając się do wyjścia, raz jeszcze rzucił uspokajającem spojrzeniem na truchlejącą Salomeę.

Jedna z garderobianek, która się obrała za przewodniczkę, przeprowadziła go przez kilka pokoi i salę jadalną, gdzie jeszcze służba kręciła się, sprzątając nakrycie do wieczerzy, odprawionej, jak mógł po obfitej zastawie osądzić, w licznej kompanji.

U drzwi komnaty sypialnej zatrzymała się dziewczyna, a Czeszejko poprawiwszy wąsa, i przybrawszy minę uroczystą, wszedł do jej środka.

Przy słabym blasku umbreli postrzegł spoczywającą księżnę w lekkim negliżu, jaki zwykle poprzedza udanie się na spoczynek.

— Witam Waszmościa! — ozwała się księżna — Pójdźże tu bliżej, niech ci się przypatrzę; wszakże to kopa lat, jakeśmy się nie widzieli.

Rączka jej biała na powitanie pływała w powietrzu, jakby wabiąc do pocałowania, lecz pan Czeszejko

kręcił wąsa i podchodził bardzo nieznacznie. Pani jednak zdała się nie uważać na to, bo, słodkiem zapraszając spojrzeniem, wskazywała rączką tuż blisko stojące krzesło.

A gdy dworzanin tak się przybliżył, że ledwo dwa kroki był od niej, nie mógł już się oprzeć pochlebnemu słówku, a może i rozkosznym wdziękom, których księżna nie widziała potrzeby taić: schylając się do niskiego ukłonu, złożył pokorne ucałowanie na rączce ciągle wyciągniętej ku niemu. Wszakże mimo grzecznego zaproszenia, jako znający respekt lub też pamiętny na delikatny interes, który miał sprawić, nie odważył się usiąść obok księżnej pani.

— Więc prosto jedziesz z Preszowa?

— Prosto, jaśnie oświecona pani.

— Czy masz jakie listy od mego pana małżonka?

— Żadnych, ustne tylko polecenia...

— Zrobił cię widać swoim pełnomocnikiem? Dalipan, wybornie książę pan poczyna! Odjechać żonę, porzucić majątek na łaskę oficjalistów, a samemu wiatry gonić lub bankietować z mieszczuchami preszowskimi — przyznam się to kwalifikacja do czubków. I jeszcze mi za złe wzięto, żem chciała nam u króla wyrobić kuratelę.

Te słowa wzburzyły widać krew w Czeszejce, bo się mocno zarumienił; umitygowawszy się, przygryzł usta i odpowiedział z przystojną godnością:

— Ile mogłem przekonać się, jako nieodstępny towarzysz i sługa, książę pan nigdy nie był przy lepszym rozumie i zdrowiu, jak teraz; jeżeli opuścił mienie, poszedł w tem za przykładem zacnych swych przodków, którzy hojnie szafowali krwią i groszem na usługę

publiczną; jeżeli wyprawia uczty Preszowianom i po pańsku ich podejmuje, czyni to przez wdzięczność za gościnne przyjęcie w ich mieście.

— To mi to patron! — zawołała księżna, wybuchając śmiechem — Ale mnie się widzi, że niedługo wszyscy konfederaci będziecie cienko śpiewać!

— Być to może, jaśnie oświecona pani! — odparł dworzanin, prostując się i przybierając zuchwałą postawę. — Jednakże książę pan dba o swoją powagę i honor i, choć zdaleka, czuwa nad tem, co go zbliska obchodzi; właśnie wiozę rozkaz odprawienia jednego oficjalisty, który, rachując na nieobecność pańską, dopuścił się licznych uchybień.

— To widzę nie przelewki! — wtrąciła księżna, kręcąc głową, a po chwili, wlepiając weń iskrzące tłumionym gniewem oczy, mówiła z przyciskiem:

— Może i dla mnie, pokornej sługi, wieziesz jaki rozkaz od wszechwładnego pana?

Czeszejko zrazu milczał, lecz po chwili, jakby biorąc silną determinację, wszczął rzecz spokojnie i poważnie:

— Kiedy już wyszliśmy na tę materję, jaśnie oświecona księżno, tedy omijać jej nie widzę potrzeby. A więc bez wszelkich omówień i ogródek, oświadczam jasnej pani, że książę mój pan, dbały o honor i dobre imię swego wysokiego domu, życzyłby sobie wielce, żebyś Mościa księżno, mając na względzie już nieobecność pana małżonka, już dla uniknienia ostrych języków ludzkich, szukała schronienia w jakim klasztorze. W braku obrońcy, coby się ujął za uczciwość i cnotę niewiasty, najlepszą obroną jest świętość miejsca.

— Rozczula mię ta delikatna troskliwość twego pana — odrzekła księżna, nadając wyraz rozrzewnienia głosowi i twarzy, Ale wiesz co, mój Czeszejko: szczerością swoją zmuszasz mię do odwetu — słuchaj więc, co powiem bez ogródki: że jako córka hetmańska, sama potrafię honor mój obronić: wreszcie — siedząc na mojej oprawie,·a w onych wielkich majątkach książęcych nie mając żadnego udziału i ledwo tylko imię nosząc od niego — które, Bogiem a prawdą, niewiele mi zaszczytu przynosi, jako imię banity — jestem niepodległą panią, która i tych, co rozkazy dają i tych, co je przynoszą, ma sobie za ba i bardzo...

Księżna wymówiła te ostatnie wyrazy tak rosnącym głosem, że wkońcu były oznaką najwyższej furji, poczem konwulsyjną dłonią pochwyciła szklankę, stojącą na stole. Dworzanin się cofnął o parę kroków, sądząc, że szklanka z wodą obije się o jego czoło, jako ostatni argument; znał to bowiem, że w chwilach wielkich uniesień ciskała, co było pod ręką; talerze, noże, butelki; lecz tym razem paroksyzm nie był tak gwałtowny: księżna napiła się tylko, jakby dla stłumienia alteracji, i stanęła przed nim, wyprostowana, dumna, a topiąc badawczo spojrzenie w męskiej twarzy Czeszejki, rzuciła mu pytanie z widocznem lekceważeniem, a nawet pogardą:

— I wam się zdaje, że mnie można narzucać rozkazy, jak pierwszej lepszej klucznicy?

— Nie wolno mi dysputować — odparł niezmieszany dworzanin — tylko spełniać wolę mojego pana.

— Ale wprzód warto się namyśleć, czy ta wola da się spełnić? — dodała księżna z przekąsem.

— Książę, mój pan — odparł spokojnie Czeszejko — nie upadł jeszcze tak nisko, aby nie miał wielu przyjaciół, gotowych ująć się jego krzywdy.

— Niech i tak będzie — przerwała księżna — ale cię ostrzegam, panie pośle, że i ja, acz zresztą i prawie wdowa, mam takich, co staną przy mnie, a już to nie pierwszy raz pokazałam twemu panu, że umiem sobie radzić w potrzebie. A tobie po starej znajomości radzę: Nie pakuj palca między drzwi!

— Niewymownie wdzięczen jestem księżnie pani za jej łaskawe przestrogi — rzekł Czeszejko, kłaniając się z całą uniżonością i pokorą dworaka. — Nieomieszkam mieć się na baczeniu, aby wszystko tak spełnić, jak mi nakazuje powinność wiernego sługi.

— Wypowiadasz mi wojnę; do mnie należy obmyśleć środki obrony...

Tu księżna przeszła się po komnacie szybkiemi kroki i w zamyśleniu; nareszcie, jakby powziąwszy jakieś postanowienie, zatrzymała się przed gotowalnią, otworzyła skrzyneczkę i wyjęła z niej niewielki zwitek.

— Mój kochany — mówiła, zbliżając się do Czeszejki — znając mię, powinieneś wiedzieć, że ze mną nie wskórasz na udry, a wszystko zgodnym sposobem. Do czego doprowadzi ta wojna? Choćbyś, przypuśćmy, i zamknął mię do klasztoru, niewielka, przyznam się, sława pokonać słabą kobietę; a i zysk nie większy, bo czemże cię pan twój wynagrodzi, kiedy niedługo sam nic mieć nie będzie. Musisz przecie wiedzieć, że litewskie dobra zasekwestrowane?

— Wiem o tem, mościa księżno, i dla tego tem wierniej powinienem służyć swemu Panu.

— Chwalę sentyment, jednakże maksyma ta nie zaprowadzi cię daleko. Lepiej te rzeczy widzę i rozumiem; dlatego radzę ci, myśl o sobie i o niej, której świat tylko zawiążesz, a szczęścia nie zrobisz. Czy znasz te perły?

Tu księżna roztoczyła przed nim sznur pereł przecudnej wody i osobliwej wielkości.

— Znam, mościa księżno; to klejnot familijny, któren nie powinien wychodzić z książęcego domu. Właśnie obok innych zleceń mojego pana mam upoważnienie żądać od jaśnie oświeconej pani, aby je złożyć raczyła w moje ręce.

To rzekłszy, wyjął papier i jedną ręką podając księżnie, drugą siegnął po sznurek.

Księżna odskoczyła nagle, okazała ogromną alterację, krzyknęła nawet przeraźliwie — ale tymczasem perły zostały w rękach Czeszejki, który z wyrazem wewnętrznego ukontentowania życzył księżnie dobrej nocy i kłaniając się z uniżonością dworaka, wynosił się z apartamentu.

Po chwili dzwonek rozległ się po pokojach — wbiegła garderobianka, odebrała rozkazy, i niebawem wszedł pan Kulesza, mężczyzna przystojny i barczysty, przyjaciel domu, faworyt pani, a, jak fama niosła, najszczodrzej obsypywany jej łaskami. Przy zamkniętych drzwiach odbyli oboje żywą lecz krótką naradę, po której pan Kulesza, owinąwszy się w kubrak i przypasawszy szablę, wymknął się chyłkiem na zamkowe podwórze, zmierzając ku oficynom i stajniom.

Nazajutrz skoro świt wyjechał pan Czeszejko, pożegnawszy czule pannę Salomeę, z białokamienieckiego zamku; panna Salomea, usłyszała nawet turkot

jego bryczki; ubrała się więc naprędce, ledwo przygładziwszy włosy, i z ostatniem uderzeniem dzwonka, wzywającego na mszę świętą, wybiegła do kościoła, powiedziawszy sobie, że księżna, wstająca zwykle o późnej godzinie, tak rano potrzebować jej nie będzie.

Po skończonem nabożeństwie, gdy wchodziła w bramę zamkową, uderzył ją wielki zgiełk na dziedzińcu i tłum ludzi dworskich, biegających i rozprawiających, w której to wrzawie dochodziły ją wyrazy: uciekł, ukradł, gonić, a najczęściej powtarzano: perły. Wtem patrzy panna Salomea ku stajniom, a tu sadzi kilku Kozaków stajennych na koniach, na czele pan Kulesza z gołą szablą w ręku.

— Czy pewniście, że ruszył ku Oleskowi? — pytał, wskazując szablą na gościniec.

— Juścić na własne oczy widziałem — krzyknie jeden z Kozaków — kiedym go odprowadzał aż za most.

— A macie sznury? — spytał znowu Kulesza.

— Mamy panie — odpowiedziała zgraja.

— Dalej za mną!

I kopnęli z kopyta, przelatując pod samemi oknami apartamentów księżny. Właśnie w otwartem oknie stała pani. Kulesza osadził konia, zdjął czapkę z kawalerskim ukłonem, jakby rycerz, wyjeżdżający na niebezpieczną wyprawę. Księżna, posyłając mu od ust pożegnanie, zawołała:

— Tylko szanuj się, panie Kuleszo, bo to desperat: posunął się po cudzą własność, gotów posunąć po życie.

— Niema strachu, mościa księżno — odparł junacko Kulesza — będę się miał za hetkę pętelkę, jeśli w kij związanego nie przystawię za godzinę.

— Niech tylko odda moje perły! — wołała księżna z widocznem wysileniem głosu, aby ją słyszano — Mścić się nie chcę; na to mamy trybunał, żeby sądził i karał złoczyńców.

— Dam ja jemu trybunał! — wrzasnął Kulesza i pogroził szablicą. — Hej, chłopcy! Nie traćmy czasu!

Kiedy zgraja pachołków znikała w tumanie kurzu, panna Salomea, przypatrująca się w osłupieniu całej tej scenie, zaledwo znalazła dość siły, żeby się zawlec do swego pokoju, gdzie cała garderoba otoczyła ją, opowiadając o perłach, które zginęły w gotowalni księżny, i robiąc wnioski, kto mógł być tej kradzieży sprawcą.

Dognanego w Olesku przywieziono Czeszejkę; związany leżał na bryczce, a obok niego siedział pan Kulesza z dobytą szablą i perłami, które znalazł przy nim. Księżna, widząc wracającą czeredę, wybiegła na ganek, a kiedy ściągano więźnia z bryki, wzięła się pod boki i z szydzącym uśmiechem patrząc mu w oczy, mówiła:

— Chciało ci się perełek, hultaju i przyjechałeś mię straszyć klasztorem. Dam ja ci klasztor! — A obracając się do pachołków:

— Do piwnicy z nim! Dwóch stróżów postawić przy drzwiach!

Wtem Kulesza podał jej perły i papiery zabrane Czeszejce.

— Dziękuje ci, kochany Kuleszo! — odrzekła, podając mu rękę. — Wróciła się zguba; zemsty nie pragnę, ale też nie chcę puszczać złego przykładu bez kary. Potrzeba sąd uwiadomić. Panie komisarzu, napisz waść natychmiast do sądu grodzkiego do Krzemieńca, aby zjechał osądzić tę sprawę

— Ależ jaśnie oświecona pani! — mówił komisarz, schylając się pokornie — Jeżeli śmiem przedstawić, delikwent jako szlachcic kwalifikuje się do trybunału; majdeburją nie może być sądzon!

— A kto waści powiedział, że on szlachcic? To łyczak z Nieświeża! Zresztą rób waść, co ci każę, a jeżeli chcesz wdawać się w dysputy, szukaj sobie dogodniejszego miejsca!

Sfukany brat szlachcic położył uszy po sobie i poszedł do kancelarji pisać wezwanie do sądu.

Więźnia wtrącono do piwnicy.

Sprowadzeni sędziowie z krzemienieckiego grodu, wypróżniwszy parę antałów węgrzyna, głaskani przez panią zamku, na której skinienie byliby wydali wyrok potępienia na samego Chrystusa, przystąpili do inkwirowania więźnia.

Domyślać się można, że zeznania jego, nie poparte żadnem świadectwem, że protestację, jako sąd to niekompetentny, odrzucono z urąganiem, a tylko odwołując się do popełnionej zbrodni kradzieży, osądzono na karę miecza. Wydano wyrok doraźny, który księżna nie omieszkała wykonać. Chcąc zachować wszystkie przepisy ekzekucji, posłano delikwentowi przebranego kapucyna dla wysłuchania spowiedzi, albowiem żaden kapucyn, czy to z Oleska, czy z Kutkorza, nie byłby się dał użyć, nie zaprotestowawszy przeciw tej procedurze tajemnej.

Powiadano jeszcze, że księżna, jako ścisła obserwatorka wszelkich przyzwoitości, stosując się do przyjętych przepisów ekzekucji, kazała szyć w garderobie śmiertelną koszulę; dziewczęta, zwyczajnie jako

młode stworzenia nie dość zahartowane w szkole swej pani, za każdym ściegiem zanosiły się od płaczu.

Pod ten czas panna Salomea postradała całkiem cielesną przytomność i wpadła w gwałtowną gorączkę, z której się nie podniosła aż w kilka miesięcy.

I sąd i przygotowania do ekzekucji poszły jak z płatka. Ale odjęcie życia podobnej sobie istocie zawsze podlega największym trudnościom; bo któż podejmie się roli kata? Wyszukano więc jakiegoś rzeźnika w miasteczku, który, dobrze podpojony i zagrożony, podjął się owej nieszczęsnej ekzekucji i z zamrużonemi oczyma spuścił topór na szyję nieszczęsnego Czeszejki. Sprawa ta, aczkolwiek gruchnęła po kraju, nie wywołała następstw, jakich się spodziewać należało, a to z powodu, iż wojska austrjackie zajęły niebawem Galicję. Nowy rząd, niegłuchy na liczne w tej materji pozwy i skargi, mianowicie od familji zabitego, zamyślał wytoczyć księżnie proces, co ona zwąchawszy, pobiegła do Wiednia i tam codzień leżąc krzyżem w kościele, gdzie cesarzowa zwykle bywała na nabożeństwach, umiała ściągnąć na siebie naprzód uwagę, a potem tak się uniewinnić, a wszystko zwalić na sąd krzemieniecki, należący do dziejów Rzeczypospolitej, że wiszącą nad sobą karę zamknięcia na całe życie do klasztoru odwróciła szczęśliwie.

Pod koniec życia, zmieniwszy świetne imię, przez oddanie ręki jakiemuś byłemu oficerowi napoleońskiemu, który nie miał gdzie egzystencji swej przyczepić, zakończyła mizernie żywot, szukając przytułku i pożywienia w domach białokamienieckich mieszczan.

Druga ofiara srogiej wojewodziny, nieszczęsna p. Salomea, dokonała życia w klasztorze PP. Benedyktynek we Lwowie.

RELACJE WSPÓŁCZESNE O ŚMIERCI CZESZEJKI

„Donoszą mi pod wielkim sekretem — notuje ks. Teofila Sapieżyna w swym dzienniku dnia 9 listopada 1772 — o awanturze, na której wspomnienie cierpi natura: księżna wojewodzina wileńska, znajoma nadto z głośnych swoich rozpust, płochości i ekstrawagancyj, zawziąwszy się na jakiegoś pana Czeszejkę, szlachcica z Grodzieńskiego (prawda-ć, że było to coś na kształt awanturnika) fałszywie udała, iż ma na to ordynans od Generalności (konfederacji barskiej) — łeb mu uciąć kazała w lochu pod pałacem białokamienieckim. Sama się do Łachwy salwowała. Jeżeli się zapatruję na okrucieństwo, pojąć nie mogę serca tak odludzkiego, jeżeli na zmazę imienia, czuję kompasją nad nieszczęśliwym i mężem i ojcem. Jest bowiem córką najzacniejszego woj. krak. Rzewuskiego, w Moskwie teraz niewolnika stanu...“

(Konopczyński. *Z pamiętnika Konfederatki*, str. 148.)

* * *

„Małżonka księcia Karola Radziwiłła — opowiada Michał Starzeński — z domu Rzewuska, córka hetmana, znudzona swym pobytem na Litwie, otrzymała do swego rozporządzenia majętność Biały Kamień, niedaleko Olejowa w Galicji, gdzie wskutek nieporo-

zumienia z mężem przez niego wyprawioną była. Tam zemściła się w sposób okrutny na jednym litewskim biedaku, który się zwał Czeszejko. Był on koniuszym ks. Karola, a księżna posądzała go o plotki, tyczące się jej osoby. Gniew księżny był straszny, a spadł na głowę nie księcia, ale biednego Czeszejki. Znaleziono go w piwnicach pałacu z odciętą głową. Przewidując sprawę kryminalną (jakoż istotnie śledztwo się rozpoczęło), księżna wyjechała do Wiednia, aby tam szukać protekcji i burzy uniknąć".

(Starzeński M. U schyłku rzeczypospolitej (1757—1795) str. 53.)

* * *

Trzecią relację zawierają pamiętniki Fr. Karpińskiego, który powiada krótko: „Wojewodzina wileńska przysłanego od Generalności z Preszowa, Litwina Czeszejkę, który zbierał składki od obywateli na potrzeby konfederacji — za to, że się ośmielił swawolne jej życie naganić, ściąć kazała bez żadnego sądu, sprowadziwszy kata do Białego Kamienia. Takie kryminały, bezkarnie świeżo popełnione, przekonały(!) nakoniec Marję Teresę, że do rozbioru Polski przystąpiła..."

* * *

A cóż sądził o postępku swej żony ks. „Panie Kochanku"? Była to jedna z licznych spraw, która do reszty przecięła węzły małżeńskie. Książę pragnął, by zbrodniarkę postawiono przed sądem; zabiegał nawet o udaremnienie jej zabiegów u dworów obcych. Nad zbrodnią bolał.

„Księżna Jejmość — pisał później w jednym liście do teścia — wyzuwszy się, iż tak rzekę, ze wszelkich względem mnie sentymentów, nietylko despotyczne rozpoczyna rządy w dobrach, jej dożywociem poddanych, właśnie jak gdyby mnie już pogrzebiono, gwałcąc wszystkie moje i odrzucając rozporządzenia, ale też tak daleko zemstę swoją zapędza, że ani nawet sąsiedzi i zastawnicy w spokojnem dziedzin dzierzeniu ostać się nie mogą. Wzdrygam się nadto dotknąć piórem szczególniejszych okoliczności, na samo których wspomnienie natura i ludzkość wstręt czują...“

Postanawia zrazu osadzić okrutną jejmość w klasztorze, gdy okazało się, że dzięki rozbiorowi Polski sprawa jej sądzoną będzie przed trybunałem wiedeńskim. „Staraj się — pisze w r. 1777 do starosty w Żółkwi — najdokładniej wywiadywać o obrotach żony mojej, jakie dalej czynić będzie, gdy się już zbliżyła za kordon i o nich mi najwięcej donosić. Staraj się dowiedzieć, czy byłaby skłonna, za postąpieniem jakiej sumy, do rozwodu. Przed osobami jej przychylnymi opowiadaj, że więcej żyć (z nią) nie będę, pójdę do separacji i (ją) w klasztorze osadziwszy, alimenta dawać będę...“ (13 maja 1777).

Potem nasunęły się wątpliwości co do klasztoru. „...Żebyś się Wm Pan nie ważył inspirować, ani żądać osadzenia księżny w klasztorze, boby za tem poszło naznaczenie alimentu, zaręczenie statuicji i pewności, żeby z klasztoru nie uciekła, coby łatwo za pobłażeniem mniszek uczynić mogła! Więc nie chcę wdawać się w takową sprawę, lecz niech sam sąd, sprawiedliwości dozierający, postępuje iuxta meritum delicti. WPan tylko, gdy

rzecz sądowi doniesioną zostanie — nauczony z publicznej wiadomości o tak okropnym wypadku, przełożysz gubernatorowi (austrjackiemu we Lwowie) pobudki troskliwości o zdrowie pana swojego i będziesz prosić, żeby (księżna) egzaminowaną była z subordynacji na życie prywatnej osoby i wyznała, jeśli również nie postąpiła z podaniem trucizny na zgładzenie męża swego i z nim mieszkającej familji.“ (15 lutego 1778).

Tymczasem winowajczyni czapką i papką zabiegała w Wiedniu o bezkarność. Radziwiłł remonstruje przeciwko temu. „...Ostrzeżony o czynnościach księżny żony mojej, szukającej wykręcić się od rozpoczętego w Polsce procederu — ażeby pomieszać jej szyki, piszę dzisiejszą pocztą do Najj. elektora bawarskiego i J. O. księcia de la Tour et Taxis, proszę, aby rezydentom swoim zalecili, iżby plenipotentów moich tamecznych wspierać chcieli we wszelkich okolicznościach, gdzie tylko ich pomocy szukać będą. (15 marca 1783).

SPALENIE CZTERNASTU CZAROWNIC W DORUCHOWIE

„Żona dziedzica wsi Doruchowa (w powiecie ostrzeszowskim, w ziemi wieluńskiej), imć pani z Rejczyńskich Stokowska, miała to być kobieta chorobliwa, pełna uwidzeń. Żaliła się wciąż na prześladowanie od czarownic, powiadając, jako jej szkodzą na zdrowiu i dobytku. Razu pewnego zamiast swoich klejnotów gnój w pudełku od nich natrafiła. Wiosną roku 1775 jadąc na rezurekcyą, ujrzała dziewięć bab ze wsi masło wśród lasu robiących, czyli coś podobnego, co je u pani w podejrzenie czarodziejstwa podało. Pochwytano je więc podług wskazania pani i stąd wywiązała się straszna inkwizycja: Czternaście wieśniaczek pod zarzutem czarowania torturami męczyć, w beczkach związane więzić, a nareszcie spalić na stosie kazała".

Temi słowy człowiek ówczesny zanotował w pamiętniku swym głośną sprawę, która była ostatnią w Polsce zbrodnią ciemnoty, wierzącej w istnienie czarownic. Na wieść o barbarzyńskim postępku inkwizytorki z Doruchowa zawrzało w całej Polsce, tak dalece, że na sejmie, który się w r. 1776 zebrał, wniesiony został z tej racji projekt królewski, zakazujący używania tortur w śledztwie i znoszący karę śmierci za czary.

Dochowała się trafem bliższa, choć później spisana relacja naocznego świadka, który wedle pamięci swej tak rzecz przedstawił w r. 1835 w „Przyjacielu ludu".

* * *

Doruchów w ziemi wieluńskiej uchodził zdawna za główne siedlisko czarownic. Na granicy między wsią ową a Przytocznicą leżał wielki kamień, nazwany Łysą Górą, gdzie co wtorek i czwartek odbywać się miały nocne schadzki czarownic. Było w tej wsi trzech dziedziców, ich nazwisk nie wymieniam, aby w ich potomkach nie wzbudzać przykrego wspomnienia (jednym z nich był właśnie p. Stokowski, żonaty z Rejczyńską). W miejscowym kościele parafjalnym mój wuj był wtenczas plebanem i trudnił się obowiązkiem stanu swojego i naukami.

Zdarzyło się, że żona dziedzica (Stokowskiego) zachorowała; dostała wielkiego bólu w palcu, a włosy na głowie zaczęły jej się zwijać. Posłano po felczera do Kempna, lecz zamiast ulgi, ręka puchła coraz bardziej, nareszcie zaczęły drobne kosteczki z rany wychodzić, co wtedy postrzałem nazywano. Oddalono felczera. W pobliskiej wsi mieszkała kobieta, trudniąca się leczeniem chorych, którą miano za opętaną od djabła. Djabeł zgadywał przez nią wszystkie choroby i przypisywał zwykle winę „ciotom" (t. j. czarownicom). Po ową kobietę posłał dziedzic Doruchowa. Wezwana do leczenia pani, a znająca dokładnie domowe stosunki we wsi, zaczęła zaraz, wszedłszy do pokoju, zżymać się okropnie, wymawiając przerywanym głosem:

— Cioty... cioty... zadały... kołtuna! Dobra... najpierwsza!

Dobrą zwano gospodynię, żonę Kazimierza, który był człowiekiem pracowitym, a jego żona oszczędną i dlatego wiodło im się dobrze. Mieli oni sadek niewielki, a w nim gruszkę, rodzącą owoce wyborne, po które dziedziczka nieraz posyłała. Kobiety we wsi wygadywały na Dobrą, iż dlatego ma się tak dobrze, ponieważ djabeł, jej oblubieniec, wszystkiego dostarcza. Otóż ową Dobrą posądzono, jakoby zamiast gruszek, myszy pani przedawała; tak zadała jej kołtuna. Została pierwsza pojmaną.

Druga była wdowa, żyjąca z wyrobku, mająca córkę około 12-tu lat. Córce zrobił się wrzód w uchu, a ponieważ go zaniedbała dostała „flusu" i na to umierać musiała: lud zabobonny posądził matkę, że czary córce własnej zadała.

Trzecia, młoda dziewka, nie wiedzieć z jakiego powodu udawała czarownicę: rwała ona liście dębowe i suszyła je na słońcu. Pasając w lesie bydło, nosiła takowe przy sobie, a gdy wiatr powstał, ona chuchnąwszy w dłoń, puszczała listek z wiatrem, aby pokazać wiejskim dzieciom, że umie myszy robić. Krzyczała przytem: mysz leci! mysz! Żeby lepiej udać swą sztukę, sama zwykle biegła za ową myszą i zadeptywała ją.

Inne kobiety z jakich powodów uwięzione, już nie pamiętam. Ale zarzucano im wszystkim, że schadzki z djabłami odprawują w każdy czwartek, wylatując na miotłach kominami na Łysą Górę, posmarowawszy się maścią, umyślnie na to w osobnych słoikach chowaną. Iż zatrzymywały deszcze w powietrzu, gdy ich było potrzeba, a w czasie słoty większą ściągały ulewę. Iż raziły ludzi postrzałami, do czego osobliwszej miały używać strzelby, to jest rękojeści od stłuczonych ty-

glów, a skoro dmuchnęły w taką rękojeść, już człowiek został postrzelony.

Pewnego wieczora w czasie owej choroby pani Stokowskiej, mając się już udać na spoczynek z wujem (bośmy w jednym pokoju sypiali), usłyszeliśmy krzyk blisko probostwa. Nie widząc ognia, tylko słysząc jęk, płacz i narzekanie, wychodzimy na dwór, pytając, co to znaczy?

Na to podstarości:

— „Z rozkazu pana pojmujemy czarownice".

Pojmano ich siedm tej nocy; pięc cór gospodarskich, jedną wdowę i jedną służącą dziewczynę. Wróciwszy do domu, wuj mój całą noc spać nie mógł. Na drugi dzień, odprawiwszy Mszę św., poszedł do dziedzica, chcąc go odwieść od karania niewinnych kobiet, lecz nic nie wskórawszy, przyszedł do probostwa w największej niespokojności. Ponieważ rodzice moi pełni byli przesądów, wierząc w czarownice i ich wspólność z djabłami, jak w artykuły wiary, przeto łatwo sobie wystawić można, że ich to niespodziewane zdarzenie bardzo ucieszyło; i ja się cieszyłem, gdyż miałem wtedy lat ośm.

Tegoż samego dnia pławiono je w wodzie. Był to staw obszerny, który do dziś dnia egzystuje. Ponieważ w całej wsi i w sąsiedztwie powstał rozruch wielki, przeto zgromadziło się niezliczone mnóstwo ludu na to rzadkie widowisko pławienia czarownic; poszedłem także z drugimi i w ciżbie nie byłbym zapewne nic widział, gdyby nie syn jednego z dziedziców, około 15 lat liczący, mając łódkę, zabrał mnie z sobą; tak więc popłynęliśmy naprzeciwko mostu, z którego czarownice pławić miano; widzieliśmy do-

kładnie całą ceremonję. Wprowadzono je na most, miały ręce powiązane; brano jedną kobietę po drugiej, założono pod pachy powróz: czterech ludzi na tym powrozie spuszczało ją powoli z mostu w wodę — Żadna z nich nie tonęła, albowiem suknie, a zwłaszcza obszerne spódnice, nim namokły, unosiły każdą z nich na powierzchni wody. Dziedzic był przytomny na koniu, a widząc pływającą, wołał: *„nie tonie“* — *„czarownica!“*

Słowa te, jak się później pokazało, były nieodzownym wyrokiem, skazującym na śmierć niewinne ofiary. Ludzie natychmiast wyciągali kobiety i tym sposobem wszystkie siedm zostały czarownicami.

Poczem odprowadzono je napowrót do więzienia na śpichlerz, posadzano w beczki, jakich do kiszenia kapusty na zimę używają. Tam nie wolno było nikomu wchodzić, jak tylko podstarościemu, mającemu nad niemi dozór, i sześciu ludziom, z innych dóbr umyślnie na to sprowadzonym, którzy je karmili i pić im podawali. Ciekawym byłem bardzo, zobaczyć także owe czarownice. — Podstarości miał syna w moim wieku; chodziliśmy razem do organisty, uczyć się czytać, i żyliśmy z sobą w przyjaźni. Ten na moje żądanie uprosił ojca swego, iż nas obu wziął z sobą, i wpuściwszy do śpichlerza, drzwi na klucz za sobą zamknął. Usłyszawszy jęczenie tych męczennic w ciemności, wydobywające się z beczek jak z podziemnych lochów, zląkłem się okropnie i, straciwszy ochotę zaspokojenia mej ciekawości, zaledwo obejrzałem jedną tylko beczkę, wszystkie jednak podobnie były urządzone — Ta, którą oglądałem, stała na dwóch podstawach; w klepkach blisko dna wyrżnięta była dziura, dość duża, czworograniasta. Kobieta, osadzona w beczkę,

miała ręce i nogi ztyłu związane, które tą dziurą zewnątrz kołkiem drewnianym zatknięte były, tak, że ani stać, ani siedzieć nie mogąc, przez cały czas, aż do okropnej egzekucji klęczeć musiała. Każda beczka pokryta była płótnem grubem, a na boku przylepiona karteczka z napisem: JEZUS! MARJA! JÓZEF! z przyczyny, aby djabli nie mieli do nich przystępu i nie uwolnili swych oblubienic od śmierci. Później z pobliskich wsi przywieziono, ale zawsze w nocy, już w takich beczkach uwięzionych jeszcze siedm innych kobiet, a zatem było ich wszystkich czternaście!

Zaczął dziedzic robić przysposobienie do egzekucji, kazał w boru kopać pnie sosnowe, takie, z których już biel w ziemi opróchniał, a tylko sam smól pozostał, kazał ścinać sosny najsmolniejsze i sążnie z nich bić. Wuj, widząc przygotowania, a nie mogąc odwieść dziedzica od tego krwawego zamiaru, postanowił jechać do Warszawy, aby u króla wyjednać ułaskawienie. Jakoż pojechał.

Dziedzic, dowiedziawszy się o tem, zaraz po wyjeździe wuja, kazał zwozić drzewo już przysposobione, na granicę pomiędzy Doruchowem a Piłą, przy trakcie, prowadzącym z Kalisza do Kempna; naprzód sosnę wielką wkopano w ziemię i około niej stós okrągły układano, jedną warstwę pniów i smolnych drew, a drugą słomy, na kilkanaście łokci wysokości. Ciekawością zdjęty poszedłem z synem podstarościego, oglądać stós, a widząc drabiny przystawione, chcieliśmy wnijść na wierzch. Ludzie, będący na straży, aby go nie podpalono, zrazu bronili nam przystępu, atoli później dali się uprosić. Tutaj na samym wierzchu była słoma, równo usłana jak na stole, i kilkanaście

klocków dębowych dosyć wielkich, na każdym z nich była przylepiona kartka z napisem! JEZUS, MARJA, JÓZEF dla wyżej wyrażonych przyczyn. Jeden z tych stróżów powiedział nam, że temi klockami przyciskać będą czarownice, aby spokojnie na miejscu leżały.

Gdy ten stós już był wystawiony, sprowadził dziedzic dwóch katów, trzech sędziów z Grabowa (gdyż wtenczas każde niemal miasteczko miało prawo miecza) i trzech księży zakonników, dla dysponowania skazanych na śmierć czarownic.

Blisko śpichlerza stał dom, kopcem zwany, naokoło oblany wodą; mieszkał w nim podstarości. Syn jego, przyszedłszy po południu ze szkoły, powiedzał mi, że ojciec jutro musi się wyprowadzić ze swego mieszkania, gdyż tam będą w nocy na torturach czarownice ciągnąć, dodając, że nikt przytomnym być nie może, prócz sędziów i katów. Całą noc spać nie mogłem, przemyślając, jakby się tam dostać.

Nazajutrz wstawszy rano, wziąłem ukradkiem w kieszeń kawał chleba z masłem, elementarz pod rękę, udając, że idę do szkoły; a pobiegłem prosto na kopiec, skąd już rzeczy podstarościego wynoszono. Gdy już nikogo w domu nie było, wszedłem do izby i ulokowałem się na przypiecku, skąd nie będąc widziany, mogłem się dokładnie wszystkiemu przypatrzyć. Przyszedł podstarości i dwóch ludzi, ci uprzątnęli, a potem wyszedłszy, zamknęli izbę. Będąc sam jeden, jużem ze strachu chciał wołać oknem, aby mnie wypuszczono, ale chęć widzenia nowości przemogła. Było to przed południem; z nudów i bojaźni usnąłem. Musiałem spać dosyć długo, bo gdym się obudził, już słońce zachodziło; spojrzawszy na izbę, zobaczyłem

stół pod oknem, trzy stołki, na stole papier, pióra i kałamarz, lichtarze ze świecami, butel wódki i kilka kieliszków. Niedługo potem czterech ludzi przyniosło na noszach kloc wielki z żelaznym pałąkiem. Wszedł za nimi kat, zaczął laską w suficie pukać w jedną deskę, poczem zaraz usłyszałem mocny huk na górze: wyrąbano znaczny otwór, spuszczono nim koło małe od woza, u którego wisiały dwa powrozy.

Po zachodzie słońca weszło dwóch ludzi, jeden przyniósł kilka kawałków tarcic, a drugi świecę płonącą. Temi tarcicami zabito okna, świecę na stole zapalono. Weszli sędziowie. Usiedli na stołkach, a posiliwszy się gorzałką, kazali przyprowadzić czarownicę — Wyszedł kat i niedługo czterej pomocnicy na tychże samych noszach przynieśli kobietę — Tutaj jeden sędzia zaczął się pytać, lecz o co, nie wiem, gdyż już byłem ze strachu napół umarły. Miała ona nogi i ręce w tył związane. Z rozkazu sędziego obnażyli ją zupełnie, postawili na owym pniu, trzymali ją oprawcy, gdyż dla słabości sama stać nie mogła; nogi pod pałąk podłożywszy, powrozem przymocowali. Do rąk, w tył skrępowanych, przywiązano powróz, od koła wiszący, na plecy włożono szpągę, podobną do grabi z żelaznemi zębami, które w ciało wchodziły; tę przytwierdzono także cienkiemi powrozami, na krzyż przez piersi opasanemi, a ich końce ztyłu do owych od koła powrozów przywiązali. Gdy to okropne przygotowanie skończono, sędzia znowu jej zadawał pytanie. Czy odpowiedziała co lub nie, także już tego nie pamiętam. W tem kat zawołał na oprawców, na górze będących: *obracaj koło!* Powrozy obwijały się około walca, ręce w tył unoszone, pociągały za sobą owe postronki od

żelaznych grabi, których zęby wchodziły w plecy. Krew się zaczęła dobywać, kości w ramionach trzeszczeć, kobieta okropnie jękła. Ja przestraszony nigdy niewidzianą męczarnią, krzyknąłem ze strachu na przypiecku. Wówczas to dwaj oprawcy zaczęli szukać, a znalazłszy, ściągali z przypiecka. Myślałem, że mnie na śmierć prowadzą. Oni, wziąwszy mnie na barki, wynieśli z izby dosyć daleko od tego domu i położyli na ziemi. Więcej może jak godzinę odpoczywałem na tem miejscu z przelęknienia, niżem przyszedł do sił. Gdym już późno w noc powrócił, rodzice moi jeszcze nie spali i byli o mnie w największej niespokojności, nie wiedząc, gdziem się podział. Odpowiedziałem im, com widział: odstąpił ich przesąd, a matka rzewnie zapłakała. Tym sposobem wszystkie kobiety na tortury brano i męczono; nazajutrz po tych mękach trzy z nich umarły, żywych zostało się jedenaście.

Pan Stokowski, pełniący urząd wielkiego inkwizytora — przyspieszając egzekucją, przysposobił czterech fornali w drabiach, jakich podczas żniw używają. Po południu może o godzinie trzeciej te fornalki zajechały przed śpichrz i na te wozy pakowano kobiety w beczkach, na trzech wozach żywe, na czwarty umarłe także w beczkach. Na każdym wozie przy żywych siedział ksiądz zakonnik, odprowadzający je aż na plac egzekucji. Tu oprawcy wydobywali z beczki skrępowane kobiety, a uchwyciwszy je pod pachy, wciągali po drabinach na stos, na którym stał już kat jeden z czterema pomocnikami: ci odebrawszy kobietę, kładli ją twarzą ku ziemi i klockami, wyżej opisanemi, przyciskali kark i nogi; poczem owemi beczkami stós obstawili. Trzem kobietom, zmarłym na klocku, głowy

poucinano, a potem w jednym dole, już na to wykopanym, ciała ich wraz głowami złożono.

Stało wiele ludzi z pochodniami, przeznaczonych do zapalenia stosu, sędziowie byli także przytomni, ale już bez flaszki. Jeden z nich zawołał: *zapalaj pochodnie!* Co gdy nastąpiło, kaci ustawili owych ludzi z pochodniami około stosu. Sędzia krzyknął straszliwym głosem: *pal!* i wkrótce stós cały stanął w płomieniach. Tu kat jeden przyniósł w chustce jakieś słoiki drewniane i kilka książek i wrzucił w ogień. Gdy dym zaczął dusić, słychać było jęk niewinnych ofiar, jak z pod ziemi podnoszący się ku obłokom — Zgromadzony lud, którego było do kilku tysięcy, wtenczas dopiero pobudzony do litości, zaczął się oburzać na dziedzica, przytomnego ciągle na koniu. Nareszcie ten, widząc zżymanie się i pogróżki tłumu, spiesznie się oddalił.

Stós całą noc palił się.

Potem ciała zmarłych trzech kobiet przysypano ziemią.

Po kobietach umęczonych zostaty 3 córki, około 15-tu lub 16-tu lat mające. Te także następującej nocy po spaleniu ich matek na plac egzekucji zaprowadzono; tam sędzia przeczytał im dekret: „że będąc córkami czarownic, musiały się nauczyć już tej djabelskiej sztuki i dusze swe czartom zapisać; aby się więc wyrzekły wspólnictwa z djabłami, mają być u słupów rózgami smagane“ — Poczem oprawcy obnażyli je po pas, każdą przywiązali do osobnego słupa, ręce i nogi do owych obręczy i tak je po gołych plecach rózgami bito. Jedna z nich w kilka dni potem umarła. Mój wuj powrócił z Warszawy, lecz niestety, za późno:

już było po egzekucji. Lecz cóż się stało z dziedzicem, który tak okropnego okrucieństwa był sprawcą? Zasłoniony nierozsądnem prawem, może i przywilejami stanu swego, został wprawdzie na tym świecie od kary bezpieczny, ale ją zapewne uczuł w głębi serca swego, dręczony wyrzutami sumienia i ciągłym smutkiem. Żona jego dostała pomięszania zmysłów i wkrótce umarła, a córka, która poszła za generała St., umarła także na tę samą chorobę.

HERETYK NA STOSIE

(Opowiadanie Tripplina)

Jakoś to było w czasie zaraz po konfederacji barskiej. Byłem już wyrostkiem, gdy z Borzęcina wybrałem się do Słupi, bo tam mieli na stosie spalić żyda. Kury ostatniem pieniem zwiastowały koniec nocy, gdy z bram miasta wyszedłem. Kościół łysogórski, otoczony mgłą gęstą, wychylał z za chmur swe wieże. Im bliżej miasta, tem gwar coraz się zwiększał. Co żyło, krzątało się hałaśliwie, a w polu kończono układać stos z drzazek i słomy, w smole maczanej.

W parę godzin potem kat w czerwonej kurcie stanął w pogotowiu. Z miejskiego więzienia wywiedziono winowajcę na spalenie, naprzód prawej ręki po łokieć, a później spalenie żywcem.

Żyd dobrego wzrostu, silnie zbudowany, z kajdanami na nogach i skrępowanemi w tyle rękoma, stał na wzniesieniu z desek przy stosie obok kata. Pomocnicy przygotowywali przewiąsła słomiane, maczając je w przyrządzonej na to smole. Żyd miał minę śmiałą a obojętną, co wszystkich dziwiło, gdyż wiedział już treść dekretu, który mu przeozytano.

Około godziny dziewiątej posługacz burmistrza konno zdyszany nadbiegł z doniesieniem, że już Jaśnie Pani jedzie. Jakoż też niedługo ukazała się na rynku kareta, w sześć koni tarantowatych zaprzężona: poprzedzał ją laufer; dwóch hajduków stało z tyłu, jeden na stopniach, a kilku dworzan i szlachty przy szablach towarzyszyło konno.

Na dany znak przez burmistrza kat krzyknął na swych pomocników; ci rozwiązali ręce żydowi, ale lewą przywiązali do bioder: prawą zaś poczęli obwijać pakułami ze smołą, kładnąc warstwami drobniutkie smolne łuczywo. To tak prędko i zwinnie zrobili, że nim kareta Pani Wojewodzinej na miejscu stanęła, już wszystko było w pogotowiu. Otwarły się drzwiczki karety i, podtrzymywana przez dwóch dworskich pod ręce, zeszła po stopniach pani Wojewodzina i na przygotowanem ogromnem krześle usiadła. Była to już wiekowa matrona, z górą miała pewnie lat 70; przy krześle stał ksiądz kapelan, Jezuita, który z nią razem w karecie przyjechał, panna respektowa, ale wcale niemłoda. Żyda postawiono bliżej pani Wojewodzinej: ta wtedy przemówiła do niego: — Widziałeś męczarnie, jakie już przygotowano dla ciebie? Żyd kiwnął głową na znak potwierdzający.

— Otóż (mówiła dalej) jeżeli się ochrzcisz, jeżeli przyjmiesz naszą wiarę, nie będzie ci ani ręka spalona, ani nie pójdziesz na stos. — A żyć będę? Darujecie mi życie? — zapytał winowajca i oczy mu się zaiskrzyły.

— Nie, mój kochany, wyroku zmienić nie mogę, umrzeć musisz: ścięty tylko będziesz, ale duszę swoją od potępienia wiecznego ocalisz.

Żyd uśmiechnął się wzgardliwie, pokiwał kilka razy głową, coś szeptał, splunął ze trzy razy i głośno zawołał: — Ja nie Adam, Waści nie Ewa, a Wać (mówił, zwróciwszy się do kata) rób, co masz robić!

Jęknęła pobożna niewiasta; ksiądz kapelan z podziwieniem spojrzał na winowajcę, a kat zapalił pakuły na ręku. Syknął żyd z bólu, a pchany obszedł całe miasto: mdlał parę razy, ale go otrzeźwiono. Kiedy go

napowrót przywiedli do stosu, wciągniono go na wierzchołek i do słupa smolnego jodłowego przywiązano. Spojrzałem wtedy: bladość trupia na czerstwem przed chwilą usiadła obliczu: oczy w dół wpadły i czarną pręgą się oznaczyły: policzki do razu zmarszczyły się, i zdawało się, że mu przybyło w tę pół godziny przynajmniej 30 lat więcej życia.

Wojewodzina ciągle modliła się na książce, gdy kat gorejącą głownię przyłożył do stosu. Buchnął płomień, okrzyk zgrozy z piersi każdego się dobył: kilka zaledwie głosów słychać było: śmierć heretykowi. Były to głosy kapelana, hajduków i laufra. Cicho tak było, jakby makiem zasiał: słychać było najmniejszy trzask łuczywa gorejącego, szmer palącej się słomy i pakuł, spadanie kropli płomienistych smoły.

— Ani krzyknął, ani słówka nie wymówił, to zatwardziały zbrodniarz i heretyk! — zawołał ze zgrozą kapelan.

Wojewodzina zamknęła książkę i na stos spojrzała: już dogorywał.

— Módlmy się za zbawienie duszy jego! — wyrzekła.

— Nie można! — zcicha przemówił kapelan, a Wojewodzina smutnie opuściła głowę na piersi i zawołała boleśnie:

— Nieszczęśliwy, potępiony na wieki!

— Tak, tak, na całą wieczność wiekuistą! — dodał kapelan.

Wojewodzina usiadła do karety i w tym porządku odjechała: popioły spalonego nabito w moździerz, sprowadzony z klasztoru Łysogórskiego i wystrzelono. Wystrzałowi temu okrzyk radosny towarzyszył.

RELACJA
O STRASZLIWEM ZAMORDOWANIU
IMĆ PANA WYLEŻYŃSKIEGO

Relacja o straszliwem zamordowaniu H. Wyleżyńskiego, Rotmistrza Kawalerji Narodowej, wespół z żonką swoją Anną z Bierzyńskich, tudzież innych pięć osób, to jest: Panny z Warszawy, garderobiany, karlicy, haftarki i praczki, w Województwie Wołyńskiem, w powiecie Łuckim, w dobrach wsi Niewierkowa. Roku 1789 w miesiącu marcu z dnia 30-go na dzień 31-szy w nocy. Z Dekretu wyjęta.

* * *

Pan Rotmistrz Wyleżyński, wziąwszy ze wsi swej poddanego swego chłopaka lat 15 mającego do swych usług, kazał go nauczyć czytać i pisać w języku polskim i niemieckim, tudzież rysować i grać na skrzypcach. Mając go u siebie za lokaja, wikt mu przyzwoity dawał, przystojną liberją co rok opatrywał, pensję coroczną mu wyznaczał i oprócz pensji jeszcze świadczył, jakoż i roku zeszłego osobną gratyfikacją 188 złotych łaskawie obdarzył; służył on u swego pana przez 10 lat, mający pod ten ostatni fatalny czas lat dwadzieścia pięć.

Tenże pan wziął i drugiego z innej wsi poddanego swego chłopaka, mającego podówczas około lat 18, którego także kazawszy nauczyć czytać i pisać, oraz rzemiosła rymarskiego, miał go przy swoim dworze do rymarskich robót, dawał mu wikt taki, jaki miała liberja, wyznaczył mu roczną pensją Złt. 84 i oprócz tego za każdą rymarską zrobioną sztukę osobno punktualnie płacił; i ten był przy dworze swego pana przez lat 12-ście, mający w tych ostatnich czasach około lat 30-tu.

Obaj ci poddani, lokaj i rymarz, tak długo razem u dworu służąc, w wielkiej z sobą przyjaźni u dworu zostawali, lecz oba też tego kosztownego pańskiego wychowania i tylu łask pańskich na złe czasem zażywali i tym zaś niesfornościom karność dworu zabiegać musiała. Przeto pomieniony rymarz za swą od dworu ucieczkę i za pobicie się z nadwornym malarzem

sprawiedliwie (bez zbytku jednak) ukarany został. Pomieniony zaś lokaj o swe czasem niesforne sprawowanie służby, mianowicie o wybieganie do karczmy, o schadzki pijatyckie i kartownicze od państwa swego i to tylko słowy strofowany bywał.

Ta dworska sprawiedliwa, chociaż dosyć łaskawa, karność nie podobała się lokajowi i rymarzowi, poddanym zwłaszcza, takie wychowanie i talenta w ręku mającym i sposób do życia na świecie znaleźć dla siebie mogącym, zaczęli więc tęsknić i zapomniawszy, że są poddanymi, oraz że tyle pan łożył kosztu na ich wychowanie i wydoskonalenie, śmieli u tegoż pana swego dopraszać się o uwolnienie od służby. Tego gdy im odmówiono, umyślili szukać dla siebie uwolnienia od służby przez zabicie swego pana. Chcieli wprzód w zasadzce pewnej zabić wiernego i ku panu swemu przychylnego ekonoma, lecz, lękając się wydania, chęci tej zaniechali, a całą myśl obrócili na zabicie nietylko swego państwa, ale i wszystkich kobiet, któretak w pokoju, jak przy pokoju pańskim sypiały, żeby żadnego nie było tego zabójstwa świadka i poszlaku.

Naprzód więc, gdy państwo do kościoła wyjechali, lokaj ten uprzątając sypialny pański pokój, przyzwał rymarza i wszystkie pistolety i strzelby woskiem pozalepiali, tudzież szable w pokrowcach tęgo pozawiązywali, dla siebie zaś duże siekiery i sznury przygotowali.

Wieczorem przed tą okropną nocą zaprosili innych dwóch lokajów, o niczem nie wiedzących, do karczmy, i tęgo gorzałką ich częstowali, ażeby twardszym snem usnęli i krzyku nie słyszeli; w jednym albowiem budynku były i pańskie pokoje i izba sypialna dla lokajów.

Zbójca lokaj zobligował praczkę, w pokoju pańskim sypiającą,(o tych okrutnych zamysłach niewiedzącą), ażeby, jak państwo zabiorą się w nocy do spoczynku i zasną, raczyła cicho do niego do drugiego pokoju wyjść i z nim zabawić się. Zezwoliła na to nieszczęsna praczka, nie wiedząc o tem, iż ją najpierwszą mieli zabić. Gdy państwo, kobiety i liberja zabrali się do snu, lokaj ów pod pretekstem moczenia swych nóg wyszedł z izby sypialnej do liberji i wszedłszy do pokoju bawialnego, czekał na przyjście praczki, która przyszła, zostawiwszy już śpiące państwo i otwarty sypialny pański pokój. Usiadłszy oboje na kanapie, rozmowami bawili się. Tymczasem zaś rymarz wszystkie naokoło drzwi drągami pozapierał, sznurami pozawiązywał i wszelką ucieczkę z pokoju panieńskiego zatamował, gdyż okiennice na haki żelazne z podwórza zamknięte były.

Zakończywszy tę łotrowską robotę, rymarz wszedł podług umowy do bawialnego pokoju, gdzie lokaj z praczką pociemku bawił się, pod pretekstem jakiegoś niby interesu do lokaja, do którego dostąpiwszy, podał mu nieznacznie sznur do rąk, lokaj zaś w tymże momencie ten sznur na szyję praczki zarzucił, a rymarz ręką gębę jej zaraz zamknął; przeto bez wydania najmniejszego głosu zaraz uduszoną została i tak swe potajemne schadzki i bawienie się okropną śmiercią przypłaciła i do okropniejszych jeszcze kryminałów drogę łotrom otworzyła. Weszli zaraz obaj zbójcy z siekierami do sypialnego pańskiego pokoju, gdzie świeca paliła się, oraz ogień na kominku nie był wygaszony, i zwolna ku łóżku pańskiemu, pawilonem okrytemu, postępować zaczęli. Ocknął się pan Wyleżyński i stąpanie usłyszawszy, potrzykroć zawołał „kto

tam?." Nie słysząc odpowiedzi, do pistoletów porwał się; lecz lokaj, nie bojąc się woskiem zalepionych pistoletów, rzucił się obces do łóżka i uchyliwszy pawilonu, siedzącego swego pana dwakroć obuchem od siekiery tak mocno ugodził, że się pan z łóżka na posadzkę stoczył. Ocknęła się na to sama pani i widząc tak okropną scenę, rzuciła się mężnie na lokaja, broniąc swojego męża, sam też pan, zmógłszy się, pomagał swej małżonce, i tak pasując się z tym lokajem, świecę wywrócili i zgasili. Rymarz, zapaliwszy u kominka świecę, chciał siłą swą wydrzeć i uwolnić lokaja, tudzież ręką swą gębę panu zatykał, aby krzyczeć nie mógł, lecz pan, pochwyciwszy zębami za palec rymarza, kawał tegoż palca całkiem ugryzł. W ten czas rozjuszony rymarz obuchem od siekiery śmiertelny raz aż do wytryśnięcia mózgu panu swojemu zadał i życie odebrał. Potem przytomną w tymże pokoju haftarkę, obuchem także w głowę ugodziwszy, z nóg ją bez zmysłów i bez przytomności zwalił. Naostatek lokaj ani prośbą, ani groźbą, ani łzami swej pani niezmiękczony, głowę jej kilkakrotnym, aż do wysadzenia z miejsca oka, tyrańskiem uderzeniem obuchem od siekiery zgruchotał i zabił.

W panieńskim pokoju, o ścianę tylko będącym, kobiety, tym straszliwym krzykiem ocucone, szukały sposobu ucieczki, i jedne drzwi wyparły, ale dalszych wyprzeć nie mogły. Aż też przybyli do nich ci zbójcy. Panna, świeżo z Warszawy sprowadzona, ze łzami wypraszała się, lecz od lokaja uderzeniem w głowę obuchem trupem legła; podobny śmiertelny cios zadał garderobiance rymarz i zabił. Karlicę, od tak wielkiego strachu prawie już umierającą, wyciągnął z łóżka lokaj i dobił. Stamtąd powrócili znowu do sypialnego pokoju

pańskiego, tam widząc jeszcze nieostygłą i rzucającą się krew w ciałach zamordowanego państwa, widząc oraz haftarkę, odzywającą się jeszcze, lokaj już nie obuchem, ale ostrzem siekiery głębokie rany po bokach, głowach i całem ciele wszystkim pozadawał i cały pokój krwią niewinną zalał. Rymarz, chcąc pokryć swój odgryziony palec, podobnyż pana zabitego palec w tejże proporcji siekierą uciął i do swego przystosował. Nareszcie zabrali wszystkie pieniądze, do kilku tysięcy Złt., tudzież zegarki i klejnoty.

Odbywszy tak straszną łotrowską robotę, udali się ku studni, obmywając siebie ze krwi, swe siekiery, suknie i t. d., czego zaś obmyć dobrze nie mogli, to częścią w wodę rzucili, częścią spalili. To zrobiwszy rymarz, udał się do swej sypialnej dla liberji izby i oba, nie spodziewając się wydania tego zabójstwa, spać śmiało poszli.

Nazajutrz rano, gdy ta tak okropna odkryła się scena, a wszyscy dworscy na taki widok struchleli, ci łotrowie oba, lokaj i rymarz, pokazywali niezmierny niby swój żal nad tak okrutnem tylu i takich osób krwi wylaniem, lecz jak ten ich żal nad niewinną krwią był zmyślony, tak znaki na nich tejże niewinnej krwi nie dobrze obmyte, postrzeżone, były prawdziwe, i te do początkowego zabójstwa wydania posłużyły jakoż wzięci do aresztu i na ścisłe pytania do wszystkiego przyznali się.

Dekret na tych dwóch: Lokaja i Rymarza:

1. Ręce ich przędziwem poobwijać i smołą oblawszy, palić. 2. Każdemu z nich po trzy pasy udrzeć z ciała. 3. Temiż samemi obuchami od siekiery, któremi niewinnych mordowali, kości im u nóg poniżej kolan

połamać. 4. Żywcem ich ćwiertować i głowy poucinać. 5. Ucięte ich głowy po obojej stronie wsi Niewierkowa (gdzie te zabójstwa popełnione były) na pale powbijać i po jednej ćwierci każdego z nich na szubienicach pozawieszać, inne zaś sześć ćwierci do publicznych miast rozwieść i przy traktach na szubienicach także pozawieszać. A cały tych zbójców majątek i jeźli co z zasług do wypłacenia zostaje, wszystko to na jałmużnę ubogim rozdać za dusze zmarłych.

Byli też wzięci w areszt i inni do tego dworu należący dla powzięcia dokładnej wiadomości, którzy lubo, jak pokazało się, do tegoż zabójstwa wcale nie wchodzili i o niczem nie wiedzieli, atoli za pomniejsze przewinienia niektórzy z nich na następujące kary są skazani:

1. Dwaj dworscy lokaje, widziawszy sekretne zbójców schadzki i rozmowy, że państwu o tem nie donieśli, oraz że tęgą gorzałką wieczorem od tychże zbójców uczęstowani, ospałymi i na krzyk nieczułymi byli, odbiorą od woźnego plag 50 każdy, chłopiec też dworski, z tymiż lokajami nocujący, także za takie ospalstwo odbierze od woźnego plag 10. Nadto jeszcze wszyscy ci trzech mają być oddani od teraźniejszego dziedzica, brata zamordowanego pana, dla nabrania czułości, pozbycia się ospalstwa i nauczenia się zachowania rozkazów starszych, na dozgonną służbę żołnierską w wojsku koronnem.

2. Szynkarz także poddany (wuj zabójcy rymarza), chociaż do tego zabójstwa nie wchodził, ale że zabójcy rymarzowi, siostrzeńcowi swojemu i innym dworskim lokajom, mimo zakazu pańskiego, schadzek do grania w karty u siebie dopuszczał i gorzałkę im borgował,

przeto woźny wymierzy mu plag 100; nadto jeszcze oddany tenże szynkarz będzie od dziedzicznego teraźniejszego swego pana na dozgonną służbę żołnierską w wojsku koronnem, a to dla nauczenia się zachowywania wiernie rozkazów zwierzchności.

3. Dworski kredencerz, niedawno przed tem zabójstwem upiwszy się, upadnieniem o drzewo stłukł się i krwią sfarbował chustkę na szyi, oraz odzież swą, a przeto w podejrzenie społeczności ze zbójcami popadł. Od tego zabójstwa i podejrzenia został przez Sąd oczyszczony, ale żeby się na potem pijaństwa wystrzegał i w przyzwoitych obrębach służby swej zachowywał się, odbierze od woźnego plag 30.

4. Dwaj poddani, z tejże okoliczności inkarcerowani, jako wcale za niewinnych są uznani, tak bez żadnej kary na wolność są puszczeni.

Ten dekret już jest do egzekucji przyprowadzony. *Laus Deo, gloria in excelsis et in terra pax hominibus bonae voluntatis.*

WINA I KARA
PIOTRA MAKOWSKIEGO

Szlachcic Piotr Makowski, oficjalista żup królewskich w Starej Soli, w czasie, kiedy Galicja przeszła pod rządy austrjackie, miał czterech synów i dwie córki. Starszą Brygidę wydał za Dijakowskiego, z młodszą zaś Honoratą, która pozostała w domu, żył za jej zgodą w inceście. Stało się z czasem, że Honorata miała zostać matką, wtedy w rozpaczy zwierzyła się spowiednikowi. Nie otrzymawszy rozgrzeszenia, postanowiła uciec z domu. Ojciec zapobiegł zamiarowi, dopomógł jej do unicestwienia grożących następstw i oddał w małżeństwo bratu swego zięcia, Pawłowi Dijakowskiemu. Związek nie był szczęśliwy. Córka żyła i nadal w inceście, a mąż prowadził się występnie. Wówczas nieszczęsna postanowiła opuścić męża i ojca i schronić się do klasztoru. Wszelako ojciec odwiódł ją od tego zamiaru i poddał myśl inną: otrucie męża.

Dwukrotnie wszczynane próby otrucia nie powiodły się, a czas naglił, gdyż na zbliżających się kontraktach lwowskich r. 1775-go zięć miał odebrać od teścia większą sumę pieniężną. Z tej przyczyny postanowił Makowski skończyć z zięciem przed nowym rokiem. Dla swych zbrodniczych zamiarów pozyskał pieniędzmi Wojciecha Srokowskiego, sługę Pawła, oraz Michała Fryglewicza, syna mieszczańskiego ze Starej Soli. Przekupieni przysięgli na krucyfiks, że dochowają tajemnicy i wypełnią każde polecenie pana Makowskiego. Podobną przysięgę złożył w ręce Honoraty 18-letni kuzyn ich

Bonawentura Makowski, który przybył na święta Bożego Narodzenia. Zrazu zamyślał Makowski dokonać zbrodni w noc wigilijną, lecz gdy nie można było bez wzbudzenia podejrzeń wpuścić do domu wspólników — odłożono mord na dzień następny. Pod pozorem, że koń Pawła zasłabł, wywołał Srokowski pana do stajni. Gdy ten wszedł ze światłem do stajni, zgaszono świecę, a Pawła obalono na ziemię i uduszono. Aby zatrzeć ślady popełnionej zbrodni, wsadzili Srokowski z Makowskim trupa na osiodłanego konia i powieźli na brzeg rzeki. Tam strącono trupa do wody, a obłoconego konia przepędzono w pola. Iżby się zdawało, że Dijakowski wypadkiem z konia spadł i w rzece utonął.

Nazajutrz rano po odszukaniu ciała urząd dystryktowy w Samborze rozpoczął dochodzenia i wpadł odrazu na trop morderców, a medyk cyrkularny ustalił przyczynę śmierci. Wszyscy zostali uwięzieni i przyznali się do winy.

Wyrok sądu grodzkiego we Lwowie był straszny:

Piotr Makowski, szlachcic lat 57 liczący, jako *perductor*, skazany został za *incestus, promotio abortus i assasinum* na wydarcie trzech pasów ze skóry i łamanie kołem od stóp do głowy.

Honorata Dijakowska, lat 21 licząca, za współwinę w powyższych zbrodniach na ucięcie ręki, następnie głowy.

Fryglewicz i Makowski na łamanie kołem od głowy ku dołowi.

Srokowski, lat 26, na szczypanie po piersiach rozpalonemi obcęgami i łamanie kołem od dołu do góry.

Odcięte głowy i poćwiartowane ciała wystawione być miały na palach na widok publiczny.

Skazani udali się z prośbą o łaskę do ces. Marji Teresy, a ich podania były pierwszemi w Wiedniu prośbami o ułaskawienie z Galicji. Marja Teresa na przedstawienie kanclerza Galicji, hr. Wrbno, uchyliła niektóre obostrzenia wyroku. Bonawenturze Makowskiemu zmieniła karę śmierci na 10 lat więzienia, innych kazała ściąć mieczem, starego Makowskiego połamać kołem wedle przepisów nieużywanych w Polsce tortur austrjackich.

Sąd, otrzymawszy akty z Wiednia, urządził z wielką pompą egzekucję, albowiem był to pierwszy krwawy wymiar sprawiedliwości za rządów austrjackich, a egzekucja miała się odbyć na osobach lepszego pochodzenia. Skazanym ogłoszono „konfirmowane" wyroki publicznie, otwarto *sünderzelle*, w której publiczność odwiedzała skazanych, przynosząc ostatnie pokarmy i trunki, zakonnicy udzielali im pociech religijnych, zaś trzeciego dnia wywieziono wszystkich w asyście wojska na miejsce kaźni.

I tu zaczęły się dziać sceny straszliwe.

Ścięcie Dijakowskiej, Fryglewicza i Srokowskiego odbyło się szybko, dopiero gdy przyszło do łamania kołem, okazało się, że kat nie umiał związać ani ułożyć skazanego, ani nie przeszedł w dostatecznym stopniu sztuki łamania kołem wedle metod austrjackich. Uczył się bowiem swego fachu w Niemczech. Zręczni i ludzcy kaci umieli nieraz niepostrzeżenie skracać męki ofiarom przez uduszenie lub ogłuszenie. Kat sprowadzony do Lwowa był stary i słaby, oraz nieświadomy podobnych operacyj. Tłukł on Makowskiego naoślep kołem, wybił mu zęby i oczy, strzaskał nogi i żebra, lecz „ducha z ciała wydostać nie mógł."

Z rozbitych piersi nieszczęśnika wydobywały się straszliwe ryki boleści. Groza ogarnęła obecnych. Wśród płaczu i oburzenia wołano zewsząd, coraz gwałtowniej, o zaniechanie egzekucji. Zmęczony mistrz stracił przytomność umysłu i zaprzestał łamania. A wtedy komisja, lękając się, by tłum, jak to się dawniej zdarzało, nie zabił kata — kazała mu odwiązać skazańca i ściąć mu głowę mieczem.

Gdy Marja Teresa dowiedziała się o tej egzekucji lwowskiej, zarządziła śledztwo, którego rezultatem było — systemizowanie drugiego urzędu kata we Lwowie.

KSIĄŻĘ ROZBÓJNIK

Jerzy Marcin Lubomirski, jedyny syn Antoniego, miecznika koronnego i starosty kazimierskiego, był dziedzicem wielkiej fortuny, na którą składały się klucze dóbr: Bar, Janowiec, Grodzisko, Kolbuszów, Lipowiec i Połonne. Oprócz ogromnego majątku dziedziczył po ojcu nazwisko nieskazitelne, głośne w Polsce, znane w krajach ościennych. Z domu rodzicielskiego mógł był wziąć piękne tradycje ofiarnej pracy dla Rzpltej. Odebrał wychowanie możliwie najlepsze, najpierw do 13 roku życia w Janowcu, pod okiem rodziców, a według wskazówek i rad znakomitego pijara, St. Konarskiego, następnie w Warszawie, w jego konwikcie. Z biegiem czasu udał się książe Marcin do Luneville, gdzie przepędził dwa lata w tamtejszej akademji „króla filozofa". Wreszcie celem „dopełnienia edukacji" wyjechał do Paryża. Ale nie skorzystał wiele od swoich wychowawców, a już najmniej w Paryżu, gdzie tylko przyswoił sobie doskonale umiejętność prowadzenia życia hulaszczego, do mistrzostwa doprowadził sztukę robienia długów i niezwykle szybko z romansowego lunewilskiego Romea przedzierżgnął się w wyuzdanego i cynicznego hulakę Paryża.

Sprowadzony przez ojca do Polski, prowadził się tu jak najgorzej. Wnet imię jego stało się w Rzpltej głośnem, mówiono o nim powszechnie jak najgorzej. Zabójstwo Jundziłła, zwykłe, skrytobójcze morderstwo, nazwane przezeń skromnie „pojedynkiem bez świad-

ków", porwanie Wyleżyńskiej, panny, powierzonej opiece jego siostry, wojewodziny płockiej, upiększane przezeń kłamaną deklamacją „o miłości dozgonnej i potajemnym ślubie", oto czyny, w długim szeregu jego występków najbardziej jaskrawe.

Wreszcie późną jesienią w roku 1757 wyłudził od ojca znaczną kwotę pieniężną, od matki klejnoty, zwerbował około 150 ludzi i, porwawszy niewybrednie kilka dziewek służebnych z domu rodzicielskiego, umknął na czele tego zastępu na Śląsk, do Wrocławia. Tam zgłosił się do Fryderyka, ofiarował królowi pruskiemu swój oddział i swoje usługi, ale w randze generała-majora. Król pruski rozdzielił ludzi przyprowadzonych między pułki, a dziecinną pretensję do jeneralskiego pióropusza wyśmiał. Trudno było ks. Marcinowi pogodzić się z udzieloną mu zwyczajną szarżą linjowego oficera, trudniej jeszcze z twardą i ciężką służbą wojskową; narobiwszy więc długów, zmienił orjentację polityczną i wczesną wiosną r. 1759 zbiegł z armji pruskiej na czele plutonu huzarów, powierzonego jego dowództwu. Uciekł do Wielkopolski; tu z dezerterów pruskich, jak i rosyjskich, z chłopów i uprowadzonego plutonu utworzył bandę rozbójniczą, która przez parę miesięcy była grozą i postrachem kraju między Wisłą a Wartą. I tak książe został pospolitym rabusiem. Najeżdżał wsie całe, rabował je z bydła, zapasów żywności i dziewcząt. Po drogach rozbijał i grabił kupców. A to wszystko „z gorącej miłości ojczyzny". Zabierał chłopom bydło, gdyż było jakoby przeznaczone dla armji rosyjskiej, a on powrócił był właśnie do orjentacji antyrosyjskiej. Zrabował zaś przejeżdżającego mimo kupca zato, że prowjantował armję pruską. Tu i ówdzie ograbił

wieś z dziewcząt i dobytku, ponieważ prawo wojenne orzeka, że kraj powinien żywić swoich „rycerzy".

Takie były rycerskie i polityczne racje bandyckiego rzemiosła księca Marcina.

Niestety, nie chciała ich uznać Rzplta, nie chciał im przyklasnąć hetman wielki koronny. Na księcia bandytę zorganizowano obławę i „wreszcie szczęśliwie" z końcem czerwca oddział wojska koronnego pojmał bandytę w mitrze książęcej wraz z 30 innymi zbójnikami pod Częstochową.

Uwięzionego magnata zamknięto w najsilniejszej warowni Rzpltej, w Kamieńcu. Postawiono go przed sądem wojennym, który skazał go za morderstwa i liczne inne zbrodnie na śmierć. Wyrok ten jednak natychmiast, skutkiem zabiegów i próśb możnej rodziny, zamieniono na dożywotnie więzienie. Rodzinie chodziło o to, by go wywieźć za granicę. Tedy bezzwłocznie po wyroku podjęli Lubomirscy starania u dworu warszawskiego i wiedeńskiego celem umieszczenia Marcina w jednej z twierdz węgierskich, a to w tym celu, aby był jak najdalej granic Rzpltej, „gdzie imię jego wymawia się ze wstrętem i obrzydzeniem", oraz aby tem łatwiej i tem prędzej pamięć o jego występkach zaginęła. Do tych względów, przedstawionych przez rodzinę, dołączył hetman Branicki swoje: iż żadna z polskich warowni nie udaremnia dostatecznie ewentualnej ucieczki sprytnego złodziejaszka. Po długich korowodach, po liście Augusta III. do Marji Teresy, zgodziła się ostatecznie cesarzowa na zamknięcie Lubomirskiego w Munkaczu. Tymczasem zaś rodzina zdołała wyjednać dalszą zmianę w wyroku: mianowicie redukcję czasu więzienia z dożywotniego na 15-letnie.

Upragniona rezolucja Marji Teresy przyszła do Warszawy w połowie lutego 1760 roku, a już 20 maja oddział wojsk koronnych oddał przyjemniaczka na granicy, dwie mile za Duklą, konwojowi austrjackiemu, złożonemu z 120 żołnierzy; odstawiono go do Munkacza. W Munkaczu, gdzie przesiedział pod szczególnie bacznym dozorem komendanta twierdzy do końca 1763 roku, wiodło mu się nienajgorzej. Miał zaufanego służącego, który troszczył się o jego „stół i piwnicę", zarządzał kasą. Z czasem, skutkiem dalszych zabiegów rodziny, więzienie to, które od początku nie było zbyt surowe, zmieniło się w zwykły domowy areszt. Lubomirski przyjmował w „kwaterze" swojej oficerów twierdzy, swobodnie przechadzał się w obrębie wałów fortecznych, na obiady zaś i kolacje uczęszczał do kapitana Aubusta. Dostał też nauczyciela „architektury cywilnej i wojskowej". Na prośbę zaś siostry, wojewodziny płockiej, otrzymał przybocznego lekarza.

Gdzieś z końcem roku 1763 przewieziono więzienie z Munkacza do Budy, jak się zdaje, dlatego, że komendant więzienia, Schmidt, skutkiem przyznanych ks. Marcinowi coraz to nowszych i większych udogodnień więziennych, nie chciał brać dalszej za niego odpowiedzialności.

W tem miejscu historja życia Lubomirskiego, która była dotąd zbójecką opowieścią, zmienia się na romans dosłownie — kryminalny.

W Budzie podczas przechadzek po parku więziennym poznał Lubomirski i rozkochał w sobie Annę, córkę komendanta twierdzy, Hadika. Nie przyszło mu to trudno, gdyż amory uprawiał z równem zamiłowaniem, jak kradzieże. Ekscelencja Hadik, zasłużony w dobie wojny siedmioletniej marszałek polny, rozejrzał

się w stosunkach majątkowych i tytułach księcia Marcina i zgodził się na wybór córki. Odtąd Lubomirski stał się gościem rodziców swojej narzeczonej. Przyszły zaś teść, mając duże stosunki na dworze habsburskim, podjął starania usilne, celem uwolnienia ks. Marcina z więzienia i umożliwienia mu powrotu do Polski, gdzie dziedziczył po zmarłym w międzyczasie ojcu ogromny majątek.

Za sprawą swego przyszłego teścia, który tak długo kołatał u Kaunitza, aż wymógł zwolnienie zięcia — ks. Marcin po 7 latach więzienia uzyskał wolność osobistą i wszystkie „prawa, jakie mu dało jego urodzenie". W czerwcu poślubił w Hermanstadzie Annę Hadikównę, a następnego zaraz dnia wysłał do Karola Radziwiłła list, który świadczył, że wbrew wszelkiej nadziei Branickiego pozostał dawnym księciem Marcinem!... Była rzecz taka: Przed ślubem pożyczył był Lubomirski od bawiącego na wygnaniu w Eperies Radziwiłła 1.700 dukatów, nadto konie, karety, srebra, służbę, nawet dwa ordery, diamentami wysadzane. Wszystko to obiecał zwrócić natychmiast po weselu. Tymczasem zamiast pożyczonych rzeczy posłał Radziwiłłowi cyniczny list, w którym zwięźle mu donosił, że pożegnać go nie może, a przedmioty mu powierzone uważa za podarek i wyjeżdża z niemi do Polski!...

Książęcemu łotrzykowi nie brakło, jak widzimy, humoru i pomysłowości.

A były to czasy konfederacji barskiej, do której odrazu przystał ułaskawiony przestępca, ślubując — 3 lipca 1768 „bronić zagrożonej wiary i ojczyzny". Bronił jej na swój sposób. Najpierw splondrował na rachunek konfederacji Łańcut i przywłaszczył sobie

tabun koni kuzyna swego Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego. Zkolei dostatnio obłowił się na grabieży kupców, których napadł na dukielskim gościńcu dawnym, dobrze sobie znanym, bandyckim obyczajem. „Łup wojenny" odsyłał na Węgry do żony, która tam się udała była już z pierwszym zaraz zdobycznym ładunkiem.

Jak widzimy, ks. Hadik-Lubomirska była dobraną małżonką i podzielała zapatrywania małżonka. Tak trwały rabunki przez trzy miesiące. W konfederacji zaczęto o nich mówić, więc ks. Marcin usprawiedliwia się: „wszedłem do konfederacji nie dla swego partykularnego zysku, nie dla zniszczenia współziomków, jako niektórzy ze złości oczernić mnie mogą, lecz ze szczerej ochoty, idąc torem antecesorów swoich, bronienia wiary świętej i wolności"! Obiecywał poprawę i poprawił się za sprawą marszałka konfederacji sanockiej, Bronickiego. „Bronicki rozpalił w duszy mojej — wyznaje Marcin — zarzewie, które ją oświeciło. Otworzyłem oczy i od tej godziny przysiągłem mojej nieszczęśliwej Ojczyźnie dozgonną wierność". Były bliższe przyczyny tego nagłego „oświecenia". Oto Bronicki ofiarował księciu Marcinowi nie mniej, nie więcej, tylko dowództwo nad 24.000 armją, złożoną z trzech korpusów, mianowicie z 8.000 górali, 8.000 konfederatów i 8.000 regularnego żołnierza austrjackiego. Lubomirski z całą powagą przyjął naczelną komendę nad ogromnem tem wojskiem, „w górach stojącem". A gdy się wnet okazało, że to wszystko było tylko pięknym snem o potędze, książe Marcin czuł się boleśnie zawiedzionym; ale mimo to pozostał wiernym raz rozwiniętym sztandarom.

W nadziejach swych „srodze oszukany”, udał się też na rozkaz Bronickiego na teren walki i 20 lipca o godzinie 11 wieczorem wszedł z dywizją swoją do Krakowa. W Krakowie bowiem podniósł był jeszcze 21 czerwca konfederację Michał Czarnocki, dziedzic Secymina, pomawiany o bandytyzm, człowiek małej wartości i małego znaczenia. — Lubomirski przehulał z nim kilka nocy. Lecz kiedy w oblężonym przez Rosjan pod dowództwem Apraksyna podwawelskim grodzie położenie stało się coraz trudniejszem i dalszy pobyt w tem mieście księciu Marcinowi wydał się ryzykownym, nagle d. 26 lipca opuścił Kraków z trzystu około żołnierzami. Ten wymarsz z oblężonego miasta, jak też i fakt, że armja rosyjska pozwoliła ks. Marcinowi przejść przez kordon oblężniczy, były powodem ciężkiego bardzo zarzutu, pod pręgierzem którego postawiła Lubomirskiego współczesna opinja publiczna. — Oskarżano go, że dostał od Apraksyna za wyjście z Krakowa łapówkę w sumie 12.000 dukatów. Jak było, niewiadomo, dość, że Lubomirski, opuściwszy Kraków, cofnął się do Lanckorony, a gdy 28 lipca ciągnął stamtąd dalej na Maków, pod wieczór dopadł go kapitan rosyjski Gendre na czele szwadronu huzarów i kozaków; i w krótkiej a krwawej potyczce zniósł zupełnie cały jego oddział. Widząc swą klęskę, ks. Marcin jeszcze przed końcem potyczki uciekł naprzełaj w 13 koni na Węgry.

W pierwszych dniach sierpnia znalazł się już książę Marcin w Kurimie na Węgrzech, gdzie bawiła od ostatnich dni czerwca żona jego i gdzie też przez cały czas konfederackiej działalności „bohatera” z pod Makowa znajdować się będzie „jego główna kwatera”, a zarazem „główny skład wojennych łupów”. Z Węgier to od czasu

do czasu będzie on wypadał do Polski „na wroga”, a częściej jeszcze będzie wysyłał podkomendnych swych „dla poboru kontrybucyj wojennych”. Te wyprawy były szczytem cynizmu. Tak np. w drugiej połowie września 1768 zorganizowawszy w Kurimie z makowskich niedobitków i z nowozaciężnych oddział, liczący kilkadziesiąt ludzi, wtargnął Lubomirski do leżących opodal granicy węgierskiej Gorlic i tu wydał dwa manifesty do ludności; w manifestach tych rabuś w masce konfederaty mieni się generalnym regimentarzem województwa krakowskiego, sandomierskiego i ruskiego, zaleca „wszem obec i każdemu z osobna”, „aby dawali furaże i suficiencje dla przechodzącego wojska mego”, dalej zaś zapowiada: „ktoby z jo. jw. wmpanów współbraci ku jednomyślności nie chciał się nakłaniać i równie łączyć... takowego osoba i dobra wojennej muszą doznać srogości”.

Taki był program i „prawna podstawa” przyszłej działalności księcia regimentarza, która wchodziła w nową fazę.

Uzyskawszy kordjalne stosunki i zaufanie pierwszych mężów konfederacji, a więc Bierzyńskiego, Wessla i bisk. Krasińskiego — zaczął awanturnik hulać. I coraz nowe obmyślał wyprawy, które urządzał przy pomocy swego pomocnika Rudzkiego. Nazywało się to „ściąganiem kontrybucji wojennej”. Tak 14 marca wysłał część swego oddziału pod komendą Rudzkiego do Polski, celem ściągania kontrybucji z województwa krakowskiego, do czego naturalnie nie miał najmniejszego prawa.

Ten Rudzki wywiązał się z zadania doskonale. Już 15 marca we wsi Grabie napadł na oddziałek któregoś z marszałków gabułtowskich i zabrał „koni 10,

ludzi dwóch w mundurach ułańskich ze wszystkiem oporządzonych dobrze, i insze potrzeby tejże komendy". — Idąc dalej na północ, złupił Dembicę. Ściągnął gwałtem pogłówne żydowskie w kwocie 2.745 zł. pol. i gromadzkie w sumie 1.584 zł. pol. Prócz tego wziął od żydów nad należytość 927 złotych polskich. Następnie splondrował miasteczko doszczętnie. Z mieszczan, których podejrzywał, że schowali pieniądze, kazał zdzierać szaty, a obdartym do naga czesać skórę grzebieniami, póki nie spłynie z krwią ich sknerstwo i zaciętość.

Załatwiwszy się ostatecznie z łykami, poszedł na zamek Michała Hieronima Radziwiłła, ordynata kleckiego i starosty grabowskiego. Tu zrabował arsenał i magazyn. Między innemi zabrał przeszło 300 łokci sukna, dwa tuziny „szlafmyc", dwie sztuki płótna szwabskiego, rękawiczek łosich par 12, chusteczek półjedwabnych tuzin, „inszych, ordynarnych trzy tuziny", „szarawarów nowych troje", mundur nowy. W zbrojowni zaś znalazł 16 karabinów, pistoletów par 10, pałaszów 7, beczkę prochu 16-funtową. Ze stajni uprowadził 7 koni, z których najdroższy miał być wart 144 zł. pol. Prócz tego zabrał „strawne dla 6-ciu strzelców na kwartał zł. pol. 216..," no i samych strzelców „z moderunkiem dobrym".

Tak obłowiony, poszedł do Strzyżowa, gdzie świadectwem działalności księcia są dwa kwity, datowane 23 marca. — Pierwszy z nich opiewał: „Odebrałem pogłównego żydowskiego z miasta Strzyżowa za ratth trzy, to jest septembrową, w roku przeszłym należącą, i marcową, także septembrową przyszłą roku teraźniejszego złotych polskich trzy tysiące, z odebra-

nych kwituję". Drugi zaś, wystawiony kahałowi, brzmiał: „...na rozkaz... Lubomirskiego ...zabrałem sukna, płótna i wszelkie inne requisita, potrzebne na wojsko skonfederowanych".

Wśród takich grabieży ogłosił się książę Marcin marszałkiem konfederacji Krakowskiej. Natychmiast po ogłoszeniu się wydał uniwersały, w których nakazywał wypłatę „10 grosza na rzecz publiczną" i to do dni 12-stu. Rozesłał bezzwłocznie na wszystkie strony drobne komendy, celem „sprężystego poboru tego podatku". Wnet też ze wszystkich stron równocześnie podniosły się rozpaczliwe skargi „na rabunki ludzi tego księcia". Wszystko sprawiło, że wkrótce nie miał już wśród marszałków gabułtowskich ani jednego zwolennika. Zwrócił się przeciw niemu i biskup Krasiński, przerażony jego łupiestwem, i Dzierżanowski, którego obrabował, oburzył na siebie protektorów swych, Wessla i Bierzyńskiego, których oszukał, zawiódł i skompromitował. Zwłaszcza wobec tego ostatniego okazał się szczególnie niewdzięcznym. Oto rozmyślnie i zdradziecko nie przyszedł Bierzyńskiemu z pomocą, gdy ten, zażądawszy jej, był pewny, że ją w chwili stanowczej dostanie. Skutkiem tego marszałek sieradzki przez oddział wojsk rosyjskich zupełnie został pogromiony. Natomiast wysłał na Spiż ludzi swych, aby tam na imię i rachunek Bierzyńskiego rabowali.

Tymczasem pojednani między sobą przez Wessla marszałkowie zatoczyli wspólny obóz pod Muszynką i tu postanowili podjąć zbiorowo walkę przeciw Lubomirskiemu. Już 25 kwietnia w Gabułtowie ułożyli skargę na księcia Marcina i wysłali ją do Wiednia Kaunitzowi. W piśmie tem przedstawiali go jako bandytę,

jako złoczyńcę, który, działając w imieniu kofederacji, wyrządza jej ogromne szkody, gdyż ściąga na nią złorzeczenia i nienawiść rabowanej bezwstydnie ludności. Przeto prosili Kaunitza, aby polecił aresztować Lubomirskiego, który chronił się na Węgrzech, jako zwykłego zbrodniarza.

Skargę tę, która była równocześnie i wyrokiem i prośbą o ułatwienie jego egzekucji, podpisali zgodnie wszyscy, jak ich siedmiu było, marszałkowie konfederacji, a to: Joachim Schwartzenberg-Czerny, Tomasz Odrowąż Wilkoński, Rafał Amor Tarnowski, Józef Bierzyński, Stanisław Morżkowski, Michał Grzymała Dzierżanowski i Ignacy Potocki.

W Polsce zaś marszałkowie zorganizowali wspólnemi siłami obławę na księcia Marcina i na jego łupieskie komendy. Księcia schwytać się nie udało, gdyż nie oddalił się zbytnio od granicy, za którą w chwilach krytycznych zawsze się zręcznie skryć umiał. Natomiast zdołano dopaść i zagarnąć kilka jego oddziałów, objuczonych „łupem wojennym".

I tak Bierzyński otoczył pod Tarnowem najzuchwalszego z podkomendnych księcia, Bojaneckiego, i wziął bez walki 80 ludzi i kasę, wynoszącą 20.000 zł. pol. W pięć dni potem tenże Bierzyński uderzył na warowny obóz Lubomirskiego i Parysa, rozbity we wsi Grabie nad granicą węgierską między Duklą a Żmigrodem, zdobył go bez trudności, zabrał dwie armaty i około 100 piechurów, zabrał kasę i „kancelarję". Przeważna jednak część zgromadzonego w obozie tym żołnierza rozpierzchła się; znaczna część umknęła przez kordon na Węgry. Nieco później zaś Lubieński, regimentarz Dzierżanowskiego, splondrował majątek jego, Kolbuszowę,

a Moszczeński, kapitan Tarnowskiego, dopadł Parysa, towarzysza jego i druha serdecznego, i rozbił go zupełnie.

Sam herszt tych łupiezców, Rinaldini polskiego rokoka, krył się tymczasem po górskich wertepach na polsko-węgierskiem pograniczu, przenosząc się szybko z obozem swym z miejsca na miejsce. Opierał się zaś w operacjach swych bandyckich stale o Kurimę, gdzie rezydowała żona jego i młodociany Dupée, „emisarjusz króla francuskiego". Tam też odsyłał łupy na bezpieczne przechowanie. Od czasu do czasu, zwykle nocą, chodził książę Marcin obyczajem liptawskich zbójników do Polski „na rabunek". Plondrował i grabił w pobliżu granicy leżące wsie i dwory, rozbijał na dukielskim gościńcu kupców i przejezdnych.

Daremnie generał austrjacki, Esterházy, prosił go coraz mniej grzecznie, to przez żonę, to przez majora Baranyjego, to wreszcie bezpośrednio listownie, aby zaprzestał zbójeckich swych wypraw do Polski. Daremnie groził mu, że, jeżeli nie zaniecha „chodzić do Polski na rabunek", to będzie zmuszony z Węgier go wydalić. Książę Marcin obiecywał — a nazajutrz szedł „jak zwykle" i wracał, ograbiwszy kilka wsi. Pewnego dnia obrabował na dukielskim gościncu byłego pułkownika rosyjskiego, Gilberskiego. Zabrane kufry odesłał do Kurimy. Gilberski zwrócił się ze skargą do Esterházego, a Lubomirska na stanowczy rozkaz generała wydała mu zrabowane przez męża skrzynie. W ten sposób Esterházy zdobył jak najbardziej prosty i oczywisty dowód bandyckich praktyk księcia Marcina.

Oryginalna ta metoda „bronienia wiary świętej i wolności" nie przeszkadzała mu mieć o sobie jak najlepszej opinji. Uważał się książę Marcin za znako-

mitego wodza i polityka, za bohatera, który poniósł ogromne ofiary „jedynie z miłości do mej ojczyzny". Więcej jeszcze: Czuł się upoważnionym do prowadzenia rokowań dyplomatycznych z gabinetami europejskiemi, w tym celu wysyłał agentów do Wiednia, Drezna i Paryża. Wprawdzie Esterházy dawał do zrozumienia, że powszechnie uważa się go za „uciążliwego wagabundę", książę Marcin zaś był przekonany, że europejskie dwory z nim się układają. Oszusta Dupée poczytywał za uwierzytelnionego przy dworze jego w Kurimie agenta króla arcychrześcijańskiego. W rzeczywistości był to kochanek jego żony, uwierzytelniony przy niej przez niego samego. Miał bandę, której stan wahał się od 20 do 100 ludzi, a w Paryżu zwerbowano w połowie maja dla jego „armji" 10 oficerów francuskich.

Konfederaci piętnowali ks. Marcina solidarnie jako bandytę, on sądził się jednak być tylko niewinną ofiarą ich zawiści i zaciekłości partyjnej. Stąd też w swyeh ulotnych pismach — z wyżyny moralnej bohatera, okrutnie prześladowanego przez własnych braci, dla dobra których poświęcił majątek i dobre imię — gromił swych prześladowców i biadał nad nieszczęśliwą Ojczyzną.

Zwalczany bezwzględnie przez marszałków gabułtowskich, starał się zbliżyć do Pułaskich. W tym celu pod koniec maja posłał im około 100 ludzi na wyprawę litewską; była to reszta, jaka mu pozostała z oddziałów jego, rozbitych przez Bierzyńskiego w Tarnowie i Grabiu. A wszystko po to, aby takiem samowolnem nadużyciem imienia Pułaskich zmylić opinję publiczną i w fałdach jej ukryć własną upadłość. Tu trzeba

jednak nadmienić, że książę Marcin z tem wszystkiem czuł się, jeśli nie czemś większem, to przynajmniej drugim Kazimierzem Pułaskim.

W początkach lipca wypracował też plan wielkiej kampanji. Na Węgrzech było mu już coraz ciaśniej, Esterházy coraz mniej rozumiał jego położenie i konieczność bandyckich wypraw. Wobec tego postanowił Lubomirski urządzić wielką wyprawę w głąb Rzpltej. W Rostoku zorganizował kilkaset ludzi (w czem nie brakło dezerterów austrjackich) i w połowie lipca ruszył na północ.

Jak przed laty na zdobycie Częstochowy, tak obecnie szedł na zdobycie bogatego Lwowa. Stanął pod nim 26 lipca 1769 roku. Sam później opowiadał, że oblęgał „twierdzę" lwowską, której załogę stanowiło 800 piechoty i 300 jazdy, z armją, złożoną z 600 konnicy i 100 grenadjerów; że od oblężenia odstąpił i cofnął się „w największym porządku", „jak tego powinność doświadczonego wodza wymagała", ponieważ opodal stał 5-tysięczny korpus rosyjski. Z pod Lwowa, rabując po drodze, ciągnął powoli pod Rzeszów. Pod miastem tem odniósł 13 sierpnia pierwsze i ostatnie w życiu swem zwycięstwo. Rozbił tu bowiem słaby jakiś podjazd rosyjski. „Czyż nie użyłem podstępu, jakiego uczy sztuka wojenna? Czyż z miłości Boga i Ojczyzny nie zagrzewałem wszystkich własnym przykładem do mężnego boju?" Zwycięstwem tem jednak niedługo się cieszył, nie upłynął bowiem jeszcze i tydzień, a już pod Rzemieniem znieśli doszczętnie „armję" jego Moskale; on sam zaledwie w 40 koni zdołał ujść z pola walki.

Po tej klęsce zwrócił się pod Częstochowę, gdzie przed laty ujął go jako bandytę oddział wojsk koronnych. Tu 23 sierpnia dopadli go w lesie wielkontyńskim konfederaci pod dowództwem Wysockiego. Książę Marcin utracił resztę swych ludzi, sam zaś z trudem wielkim zdołał się wymknąć i przebierając się lasami w nocy, po rowach i zaroślach kryjąc się w dzień, uchodził ku granicy pruskiej.

Tak się skończyła „wielka kampanja" księcia Marcina, a zarazem jego konfederacka działalność. W międzyczasie bowiem rząd austrjacki pozbawił Lubomirskiego dotychczasowej podstawy wszelkich jego „militarnych" operacyj, jaką dla niego były Węgry, gdzie spokojnie organizował coraz to nowe „armje". 18 lipca nadworna rada wojenna w Wiedniu wymówiła księciu Marcinowi gościnność i zabroniła mu raz na zawsze przebywać w granicach monarchji rakuskiej. Chodziło Austrjakom nie tyle o bandytyzm księcia Marcina, ile o uprawiany przez niego na wielką skalę werbunek c. k. poddanych i... austrjackich żołnierzy, o ułatwianie i organizowanie dezercji. A gdy Esterházy ostatnio zdobył był właśnie oczywisty dowód praktyk „uciążliwego gościa", ponieważ zręcznie skłonił księcia Marcina do wydania czterech dezerterów, którzy znajdowali się w jego szeregach, przeto nadworna rada wojenna uważała, że już ten jeden fakt jest dostateczną przyczyną, aby Lubomirskiemu zabronić dalszego przebywania na terytorjum krajów habsburskich. Pod koniec lipca doręczono księżnej Lubomirskiej dekret, zakazujący jej mężowi dalszego pobytu w monarchji, równocześnie zaś rzeczy jego, jakie się znajdowały w Kurimie, obłożono sekwestrem celem

pokrycia szkód, które książę Marcin wyrządził na Węgrzech i pretensyj, jakie zgłoszono. Wszystkie zabiegi Lubomirskiej, aby nadworna rada wojenna dekret wydany cofnęła, były daremne.

Wydalony z Austrji, ścigany jako zbrodniarz w Polsce, znalazł schronienie książę Marcin w Krawarnie na Śląsku pruskim. Tam rezydował aż do upadku konfederacji barskiej, rozwijając w mniemaniu własnem wybitną działalność patrjotyczną. Wydawał duże sumy na agentów, których rozsyłał do Paryża, Wiednia i Drezna, werbował „oficerów" obcych, organizował legjon, wyciągał łakomą łapę po pieniądze saskie i francuskie, ale że już nie mógł „chodzić do Polski na rabunek", był nieszkodliwym aferzystą. W operacjach swych „dyplomatycznych" nie miał też szczęścia zupełnie. Zgromadził koło siebie grupę awanturników, których źle płacił, ale szczodrze obdarował stopniami oficerskiemi. Cała ta banda pędziła próżniaczy żywot w Krawarni, wypracowując coraz to nowe projekty finansowania przedsiębiorstwa i coraz to inne polityczne systemy. Książę Marcin żywił ją i opłacał, a przewodziła jej księżna, „*femme d'esprit et assez jolie*".

Sielanka śląska skończyła się z chwilą pierwszego podziału. Lubomirski wrócił do Polski. Wybrany posłem sandomierskim, wziął żywy udział w pracach sejmu rozbiorowego. „Marcin Lubomirski — pisał ktoś o nim współcześnie — największy drań przed i po konfederacji barskiej, śmiał dać się obrać posłem i przyjechać publicznie do Warszawy, gdzie mu ani zarzutów nie czyniono, ani też go nie karano". Więcej — bo „śmiał" ubiegać się o mandat członka komisji, mającej wytyczyć nową granicę polsko-austrjacką. Poseł austrjacki zabiegi te

jego usilnie popierał, gdyż „austrjaccy komisarze *łatwo* będą mogli z nim się porozumieć", ale wątpił do ostatniej prawie chwili, „aby delegacja zechciała powierzyć księciu tak ważny mandat ze względu na właściwości jego charakteru, nie cieszące się najlepszą sławą". — Ostatecznie jednak, na stanowcze życzenie posła Rewitzky'ego, książę Marcin upragniony mandat uzyskał.

Żył potem długo i bezkarnie.

ŚMIERĆ WOŁODKOWICZA

Mąż stanu z epoki Augusta III., kasztelan Marcin Matuszewicz, który pozostawił obszerne pamiętniki czasów swoich, podał w nich szczegółową relację, dotyczącą głośnego w r. 1760 zamordowania Wołodkowicza przez sąd trybunalski.

Oto jego opowiadanie:

* * *

Po sejmiku deputackim, odbytym w Brześciu w r. 1760, wyjechałem wcześnie na zapusty do Białegostoku, gdzie nas feralna doszła wiadomość o zastrzeleniu Michała Wołodkowicza, wojskowicza mińskiego i deputata tegoż województwa, podskarbiego trybunalskiego. Trzeba naprzód wiedzieć, że ten Wołodkowicz z bratem swoim Józefem, starostą krasuckim, obadwa wielkiej mężności ludzie, wielkiej substancji i zacnego urodzenia, (bo i za Radziwiłłem była Wołodkowiczówna), popularni bardzo byli w mińskiem województwie, przyjaciele książąt Radziwiłłów nieodstępni, ale Przeździeckiemu, referendarzowi, przyjacielowi księcia Czartoryskiego, kanclerza litewskiego, chcącemu się rządzić w województwie mińskiem tak byli ciężcy, że nieraz musiał z sejmiku uciekać i potem na sejmikach nie bywać.

Zdarzyła się tedy taka nieszczęśliwa okazja.

Dnia pierwszego Februarii Michał Wołodkowicz, podskarbi trybunalski, częstował u siebie na obiedzie wszystkich kolegów deputatów i Morykoniego, wicemarszałka trybunalskiego, po innych kolegów na sądy trybunalskie odjechaniu. Wołodkowicz innych jeszcze gości częstując, napił się i napity pojechał na sądy, gdzie *in conclavi* zastawszy deputatów, kazał wina *ad conclave* przynosić i kolegów częstował. Wicemarszałek trybunalski, gdy regenci dekret pisali, grał w karty, a jako się to i dawniej trafiało, że dobosze i fajfrowie od piechoty trybunalskiej dla ogłaszania pijących wi-

watów wpuszczani bywali, tak i Wołodkowicz prosił wicemarszałka, ażeby fajfrom i doboszom *ad conclave* przyjść kazał, na co, gdy mu napiłemu grubo odpowiedział wicemarszałek, że to jest hultajska maniera, wtedy Wołodkowicz, wpadłszy w cholerę, odpowiedział, że w karty grać jest kosterska sprawa i pieniądze mu z kartami ze stołu zrzucił, a potem, dobywszy szabli, nikogo nie atakując, świece palące się ścinał i Dłuskiego, w tyle stojącego, przez nieostrożność w rękę zaciął tak lekko, że rana do 24-ch godzin zagojona została. Potem się to uspokoiło, na strony zadzwoniono i dekret promulgowano.

Nazajutrz Pac, pisarz litewski, (którego rodzona siostra za Wołodkowiczem, starostą hajońskim, była,) zaprosił do siebie na obiad wicemarszałka trybunalskiego i wszystkich deputatów, gdzie za staraniem jego między wicemarszałkiem i Dłuskim z jednej a Wołodkowiczem z drugiej strony pojednanie stanęło i wszyscy rozumieli, że już to głębokiem zagrzebiono milczeniem. Ale inaczej było. Morykoni albowiem i Wisłouch, pisarz trybunalski, zniósłszy się z sobą na zgubę Wołodkowicza, a wiedząc, że podchlebną rzecz Przeździeckiemu uczynią, udali się do niego, a tak Wisłouch pobiegł do niego, sześć mil od Mińska do Zasławia, z projektem zgubienia Wołodkowicza. I gość i projekt był miły Przeździeckiemu, dalszą zatem plantę ułożyli i naprzód ks. kanclerzowi Czartoryskiemu projekt swój oznajmili, potem posłali dniem i nocą Tatara do Bychowa, do podkanclerzego Sapiehy, donosząc o akcji Wołodkowicza, bardzo rzecz egzagerując i siła kłamstw przydając. Posłali także listy do Mniszcha, marszałka nadw. kor., gdzie całe życie Wołodkowicza, różne na

niego ekscesa opisawszy, oczernili: że jako jest pijanica i fantastyk, tak upiwszy się i przyszedłszy na sądy, zaczął okazje dawać wicemarszałkowi, potem go bez żadnej racji kilka razy w gębę uderzył, Dłuskiego urąbał, świece, stoły i laskę marszałkowską porąbał, a nawet krucyfiks, na stole marszałkowskim stojący, chciał rąbać. Umyślnie go tak szkaradnie opisywali, ażeby, gdy go stracą, żadnej nad straconym kompasji nie było i aby im przykładną przypisywano sprawiedliwość. Taki do ks. Radziwiłła, hetmana w. lit., list wysłali, wyciągając go na respons, iż, jeżeli Wołodkowicza, jako swego przyjaciela, ochraniając, da respons, tedy aby na księcia aklamować, że jest *fautor* (obrońca) kryminalistów; jeżeli jego akcję zgani i godną kary osądzi, tedy aby, straciwszy Wołodkowicza, mogli się responsem ks. hetmana złożyć. Wszystko to za radą Przeździeckiego z niewypowiedzianą prędkością robili, aby czasu do refleksji i ratunku Wołodkowicza nie zostawili. Taki też to był czas nieszczęśliwy, że wszyscy prawie przyjaciele Radziwiłłowscy i Wołodkowiczowscy na sejmiki się pozjeżdżali. Tedy zaczęli deputaci, przyjaciele Czartoryskich, sprzysięgać się formalnym juramentem na zgubę i życie Wołodkowicza i na sekret tej okrutnej planty.

Tymczasem Żaba, deputat witebski, jeden z przysiężonych, nie mogąc wołającego zatłumić sumienia, poszedł na spowiedź do Karmelitów i tam na spowiedzi wyjawił całą konjunkcję na zgubę Wołodkowicza, powiadając, że skoro tegoż samego dnia przyjdzie Wołodkowicz na sądy, tak zaraz cała chorągiew trybunalska izbę sądową opanuje, wezmą do namowy i zaraz na gardło Wołodkowicza osądziwszy, już go żywego

nie wypuszczą! Prosił dalej tenże Żaba poza tajemnicą spowiedzi Karmelity, ażeby się starał przestrzec Wołodkowicza, niechaj dnia tego na sądy trybunalskie nie przychodzi i aby raczej wyjechał z Mińska, albo się do klasztoru schronił. Powiedział to Karmelita przełożonym swoim. Kazali mu czemprędzej iść do Wołodkowicza, aby nie wymieniając Żaby, przez wszystkie sposoby prosił, aby nie szedł Wołodkowicz na sądy i raczej wyjechał z Mińska, albo się do klasztoru schronił, gdyż pewna go śmierć czeka. Ale zastał Wołodkowicza ranny obiad jedzącego i wino pijącego, prosił go tedy na sekretną konferencję, na której swoje prośby i przestrogi, do nóg padając, przekładał; a wtedy wszedł konfident Wołodkowicza, agent Sylwestrowicz, człek zuchwały a nierozmyślny, który jako miał swój prywatny interes w sprawie na poobiednich sądach przypaść mający i chciał przeto, aby dla pomocy jego był Wołodkowicz na sądach. Ten Sylwestrowicz na księdza Karmelitę zaraz fukać zaczął. Karmelita jednak w wielkiej pokorze przestrzegać i prosić Wołodkowicza nie przestaje, aby nie szedł na sądy, a Sylwestrowicz księdza ustawicznie łaje.

Zaczęły się już sądy poobiednie. Sylwestrowicz doskwiera Wołodkowiczowi, aby szedł na sądy, Karmelita zabrania i do nóg upada; jednak Wołodkowicz i sam na Karmelitę ofuknąwszy się, poszedł na sądy. Szedł za nim Karmelita jako za ofiarą na śmierć skazaną! Zabiegał coraz na ulicy, prosząc i nie puszczając na sądy, ale to nic nie pomogło. Naresztę, gdy już na ganek przed sądową izbą Wołodkowicz na schody wstępował, padł Karmelita do

nóg, zaklinając, aby się wrócił, ale właśnie przez upartość za poduszczeniem Sylwestrowicza poszedł na sądy.

Gdy tylko wszedł Wołodkowicz do sądowej izby i siadł na swojem miejscu, tedy zaraz cała chorągiew trybunalska opanowała sądową izbę, a Dłuski prosił wicemarszałka o ustęp. Gdy ustąpiły strony, tedy Dłuski wniósł w kole, prosząc o sąd na Wołodkowicza za owe dawniejsze jego obcięcie w rękę i kary kryminalnej na Wołodkowiczu dopraszał się. Wicemarszałek nie uznawszy *terminum tactum*, ani zadzwoniwszy na strony dla wpisania w regestra i przywołania sprawy, a zatem bez dodania Wołodkowiczowi patrona, zaraz dał *turnum* do dania sentencji na gardło Wołodkowicza. *Pluralitas* stanęła, aby Wołodkowicz był rozstrzelany! Dekret zaraz o tem napisali.

Po przeczytaniu takowego dekretu, Wołodkowicz widząc, że źle koło niego, chciał uciekać i oknem wyskoczyć, ale go przyjaciel, prawda jego, ale głupi Czerniewicz, deputat konieński, wpół ztyłu porwał i utrzymał, bojąc się, aby się nie stłukł; a drugi deputat trocki Szwejkowski, bliski krewny Wołodkowicza, ale niepoczciwy, szablę mu z paskami urwał, aby się do niej nie porwał i nie bronił. Porwali się zatem wszyscy deputaci, nieprzyjaciele Wołodkowicza, chcąc go utrzymać; przyjaciele zalękli się, a tymczasem hurmem wpadła piechota trybunalska, porwała Wołodkowicza, zaraz mu kajdany na ręce włożyli i powlekli do kordegardy, gdzie zaraz nogi mu okuwali i łańcuchem wpół do ściany przykowali. A gdy Morykoni, wicemarszałek trybunalski, dowiedział się o tem, iż o wielkiem niebezpieczeństwie Wołodkowicza dano znać przyjaciołom

jego, zaraz starał się jako najprędzej zgładzić z tego świata Wołodkowicza. Dał tedy ordynans, aby o godzinie szóstej po północy był rozstrzelany, ażeby potem po przybyciu starosty opeskiego i innych przyjaciół nie był odbity.

Podówczas był w Nieświeżu wielkiej świątobliwość ks. Obłoczymski, dominikan, misjonarz apostolski. Miał kilku zakonu swego zakonników świątobliwych i gorliwych kaznodziejów. Ten, dowiedziawszy się o ordynansie wicemarszałka Morykoniego, przybiegł przed północą do kordegardy i zaczął Wołodkowicza namawiać do sakramentu św. pokuty. Jeszcze Wołodkowicz miał nadzieję być wolnym, że go przyjaciele odbiją, lecz widział bardzo mocną koło siebie wartę; miał nadzieję, że się okupi i proponował Morykoniemu w gotowiznie sto tysięcy złotych, ale ksiądz Obłoczymski asekurował go kapłańskiem słowem, że mu się żadna myśl i nadzieja nie uda i że za dwie godziny nieomylnie trzeba być rozstrzelanym. Dopiero zaczął Wołodkowicz bardzo płakać, a potem zaczął się z wielką skruchą i długo spowiadać. Nadchodził czas jego egzekucji. Skończywszy tedy spowiedź, pobiegł ks. Obłoczymski po komunję, a że tak prędko nie mógł dokołatać się do kościoła, zaczem skoro wtóra po północy uderzyła, rotmistrz trybunalski, nie czekając powrotu z komunją świętą ks. Obłoczymskiego, kazał go rozstrzelać. Przybiegł nadedniem z gromadą przyjaciół starosta opeski, ale już po wszystkiem zastał. Tak się tedy ta trajedja zakończyła. —

Jak rozmaite wersje i opowieści krążyły o tej niesłychanej w dziejach sądu polskiego justyfikacji, świadczy ustęp z pamiętników Ambrożego Wejły, który

był przeciwnikiem skazańca. Wejła tak rzecz przedstawia:

Zasłużona kara śmierci, na Wołodkowiczu spełniona, tak przeraziła panów, tak zdziwiła szlachtę, że w kilkadziesiąt lat mówiono jeszcze o niej, jak o najważniejszym wypadku, zaszłym w kraju; śmierć ta inaczej jest opisaną, jak ja za mojej młodości słyszałem; może kto wynajdzie dekret ostatniego Trybunału w Mińsku sądzonego i nas starych pogodzi, ja zaś tu kładę, jak mi opowiadał mój ojciec, subkollektor przy sądzie ziemskim nowogródzkim.

Józef i Michał bracia Wołodkowiczowie olbrzymiej siły, dobrawszy przyjaciół: Wiażewicza, Żegotę, Topolewskiego, Klauza i kilku innych, z kilkudziesiąt kozakami nadwornymi, stali się prawdziwie postrachem uboższych i spokojniejszych od nich ludzi, nie można było być ani ich przyjacielem: bo w pierwszym chcieli mieć wspólnika, drugi stawał się ich pastwą. Michał miał tylko być zuchwałym, Józef do zuchwalstwa zdradę i podstęp łączył, jak się to da widzieć z postępku, który stał się powodem jego śmierci. Mieszkał on w Mińskiem Województwie, nad wielkiem jeziorem, które całe do niego należało, wyjąwszy kilka set sążni, które były własnością Jacynicza, posiadacza kilkunastu chałup włościańskich i mieszkającego na przeciwnym brzegu tegoż jeziora. Jacynicz ten rodziców Wołodkowicza był prawdziwie hołdownikiem, sługą, a piastunem Józefa; nie bez powodów spodziewał się, że pod przemożnem ramieniem tego pana, spokojnym zostanie; ale nie; zażądał Wołodkowicz nabyć jego folwark, żeby być panem całego jeziora; możeby Jacynicz zgodził się na to, ale ile był sławny Wołodkowicz

z napastnictwa i gwałtów, tyle niesławny z rzetelności płacenia długów; jakąż mógł dać rękojmię, że się rozliczy sprawiedliwie o nabycie folwarku? Jacynicz przedaży odmówił; i odtąd zaczęły się wielkie prześladowania: grabiono bydło, zabierano sieci na jeziorze, tratowano zboże jadąc na polowanie; skarżył się Jacynicz Wołodkowiczowi, ale zawsze bezskutecznie; naostatek ludzie Wołodkowicza, pojmawszy kilku włościan Jacynicza, pod pretekstem, że drzewo w lesie ich pana rąbali, nielitościwie zbili — Jacynicz, znając, że skarga byłaby daremną, wymyślił dziwny sposób zemszczenia się na Wołodkowiczu, albo raczej zawstydzenia go; kazał na kul słomy włożyć kontusz, położyć nad brzegiem jeziora i bić bizunem, pytając się u ludzi, kogoby bili? — Wołodkowicza — odpowiadali bijący — A za co? — Że nas grabi, bydło zabiera, zboże tratuje. — Czy tak? Bijcie dobrze! — Zaraz się dowiedział Wołodkowicz o tej karze swego cienia i w kilka dni przyjechał do Jacynicza. — Po rubaszno-grzecznem powitaniu rzekł do Jacynicza: — „A to słyszałem, że tobie moi ludzie różne krzywdy robią!" Uniżony prawie do stóp szlachcic odpowie: — „Panie, na ręku ciebie nosiłem, a Ty w starości nie pozwalasz mi spokojnie umrzeć". Wtem zaczął wyliczać zrobione na jego własnej ziemi zabory. — „Nic nie wiedziałem o tem, P. Jacynicz; jutro każę ci wszystko zwrócić".

W rzeczy samej nazajutrz przypędzono bydło i sieci przytrzymane oddano. Rad nieskończenie Jacynicz, że przecie na drogę rozwagi naprowadził napastnika, a chcąc dobre nadal z nim zachować stosunki; pojechał po dawnemu go odwiedzić, jak zwyczajnie bywało na obiad; bynajmniej nie przychodziło mu na

myśl, żeby Wołodkowicz za żart, jak mniemał, niewinny chciał mścić się na nim, i nie miał względu na wiek jego i dawne w ich domu zasługi. Nie z tego rodzaju ludzi był Wołodkowicz; uczęstowawszy dobrze gościa, po obiedzie zaprosił na przechadzkę nad jezioro; gdy stanęli nad brzegiem, zapytał Jacynicza: Kogo to biłeś dni kilka temu nazad? Tu poznał szlachcic, że wpadł w łapkę, ale nie tracąc jeszcze nadziei, rzekł: A to chłopca, że bydło wpuścił w zboże. Nie, P. Jacynicz, mówił Wołodkowicz, wyraźnie widziałem, że to ktoś w kontuszu. — Że już kłamstwem nie można było uratować się, zeznał Jacynicz, że kul słomy, ubrany w kontusz, bił, ale dodał, że to zrobił po pijanemu. Nie, panie Jacynicz; ja słyszałem dobrze, jak ludziom mówiłeś: bijcie Wołodkowicza; a zatem, obracając się do swoich ludzi, dodał: weźcie go! Gdy położonego Jacynicza bito, Wołodkowicz pytał: kogo bijecie? — Kul słomy, Panie! — Bijcie dobrze! — Zbity Jacynicz po Wołodkowiczowsku, co znaczyło sto i oko bizunów, pozwał go do Grodu Mińskiego. Gród przyjazny, albo może bojący się Wołodkowicza, dekretem swoim tak osądził: ponieważ Jacynicz skrzywdził Wołodkowicza na honorze, a Wołodkowicz Jacynicza na honorze i ciele, przeto sądzi na Wołodkowicza sześć niedziel wieży cywilnej i kary pieniężnej 200 kop, czyli złotych 400. Takim dekretem kontentowałby się Wołodkowicz, bo jak mówił, że w post zasiądzie u Bernardynów, to i wieżę odbędzie i do spowiedzi przygotuje się, lecz Jacynicz apelował do Trybunału. Po kilkakroć zagajono ugodę, ale do skutku przyjść nie mogła, bo Wołodkowicz przy niej chciał nabyć folwark, mówiąc, że nie chce tego mieć w sąsiedztwie, co go bije i nie płaci; a on za pobicie

kulu słomy i siedzieć wieżę musi i płacić. Tymczasem zjechał się Trybunał do Mińska. Marszałkiem został obrany Morykoni. Wołodkowicz ufał mocno, że deputatów większą liczbę będzie miał za sobą, nadewszystko liczył wiele na P. Zenowiczu pisarzu trybunaskim, dobrym prawniku i wielki wpływ na koło trybunalskie mającym; jednakże ktoś z nieprzyjaznych Wołodkowiczowi tak wsparł mocno u Marszałka i Zenowicza skrzywdzonego Jacynicza, że Trybunał skazał Wołodkowicza na trzy miesiące wieży in fundo, i zapłacenie 4.000 kop, lub odpowiednich złotych. Wołodkowicz, o zapadłym dekrecie dowiedziawszy się, będąc bodaj mocno pijanym, wszedł do Izby trybunalskiej, która miała miejsce w pałacu Przeździeckich, i zapytał u Pana Zenowicza, czy dekret w jego sprawie ogłoszony. — Już ogłoszony — odpowiedział mu Zenowicz — A jakaż tam wasza decyzja? — Zenowicz, znając dobrze całą gwałtowność Wołodkowicza, usunąwszy się trochę od niego, rzekł: — Niech pan każe protokuł sobie podać Regentowi dekretowemu, który oto tam siedzi. — Wskazał mu miejsce, gdzie był stół Regenta. — Ach, ty łotrze! — mówi — Do Regenta odsyłasz, a sam pisałeś dekret! I dobył szabli, chcąc ciąć Zenowicza. Uchylił się Zenowicz, czy szablę odbił, a ta padła na krucyfiks i przecięła go na pół. Marszałek wezwał Instygatora i wartę trybunalską; porwano Wołodkowicza, który, mimo najsilniejszy opór, do więzienia zaprowadzony został. Sprawiedliwie za podobne zuchwalstwo karę śmierci otrzymał Wołodkowicz, ale Trybunał dopuścił się nadużycia wielkiego, pomijając prawem przepisane prawidła. Sprawę, będącą na stole, której głosy się odbywały, zawiesił; po zrobionem wnie-

sieniu przez Instygatora i po danym zakazie Wołodkowiczowi, w dniu tymże do inkwizycji go wezwał, a gdy ten nie stanął, zaoczną zrobił, a uznawszy winnym śmierci, na drugi dzień dekret ferował i spełnić kazał. Skazany na śmierć co powinien był mieć 24 godziny czasu udzielonego, dla przygotowania się do niej, nie miał dwunastu sobie danego. Kara, którą powinien był ponieść publicznie w obliczu całego miasta, spełnioną została w więzieniu w minucie odbytej spowiedzi. Rozstrzelanie nie było karą, używaną na osobach cywilnych, lecz pospolicie winnych ścinano; tu użyto jej, bo mistrza kata w Mińsku nie było. Wystrzały miały być tak źle wymierzone ku winowajcy, że się zerwał z miejsca swojego i, ubiegłszy kilka kroków, na ziemię upadł, jęcząc; podoficer dobił go wystrzałem w ucho. Skwapliwość, z jaką osądzono i ukarano Wołodkowicza, usprawiedliwioną być nie może bojaźnią napadu brata Michała Wołodkowicza; godniejszem byłoby tak wysokiej magistratury, uzbroiwszy się przy pomocy warty trybunalskiej, i wezwaniu mieszczan miasta, stanąć do obrony, jak nikczemnie rozpierzchnąć się na sam odgłos tylko, że spieszy Michał Wołodkowicz na odsiecz bratu; lecz chwycono się tego, co pewniejsze dawało bezpieczeństwo; trybunał cały rozjechał się. Nie uszliby może zemsty rozsypani sędziowie, żeby zaszła wkrótce śmierć Augusta III i wkroczenie wojsk rosyjskich w kraj polski nie zwróciły ku czemu innemu umysłów obywateli litewskich.

SPRAWA ZOFJI ZARĘBIANKI

Kiedym zasiadał jako sędzia w sądzie asesorskim, — opowiadanie kasztelana Antoniego Biesiekierskiego, (około r. 1840) — podpisałem na kobietę zupełnie niewinną wyrok, skazujący ją na śmierć. Wprawdzie wszystko się działo wedle przepisów prawa i cały komplet sądu skrupulatnie ich przestrzegał, ale się pokazało, że *w ów czas* procedura karna nie odpowiadała słuszności. Szczęściem Bóg odkrył niewinność skazanej i jeszcze dość czasu było wyroku egzekucję wtrzymać, a następnie skasować.

W roku 1775 dnia 15 marca oskarżoną została o dzieciobójstwo panna Zofja Zarębianka, zajmująca się gospodarstwem w ziemi Łęczyckiej we wsi Niwkach, dziedzicznej stryja swego, który dla urzędowania nie mógł sam doglądać gospodarstwa. W ciągu jej więzienia liczni sąsiadkowie zeznali: „że zamordowanego, a w ogrodzie dworskim w ziemi znalezionego dziecka była matką; że, jako dorodna i rządna gospodyni, miała ubiegających się o jej rękę kawalerów, a z tych jednemu, gdy została wzajemną, wydała na świat tę nieszczęśliwą ofiarę". Gdy mimo tak dowodnych zeznań świadków, uwięziona przy kilkakrotnych indagacjach, okazaniu jej zamordowanego dziecka, stale zaprzeczała, oddana została katowi, aby wymusił na niej postrachem przyznanie. Wprowadzono obżałowaną niebawem do tak zwanej izby męczarni, gdzie jej kat srogiej postawy zagroził, że jeżeli nie przyzna się do

tego, co liczni świadkowie udowodniają, włoży jej na głowę okazaną „czapkę pomorską“ i tak ześrubuje, że żyły krwią nabrzękłe pękać będą, a oczami krew się dobędzie. Następnie zagrażał jej ześrubowaniem palców, co sprawia ból niesłychany.

„Mógłbym ci też włożyć „hiszpańskie buty“ — rzecze dalej mistrz sprawiedliwości — ale gdy te raczej mężczyźnie przystoją, spróbujesz więc oto tej sznurówki, w której spodziewam się, iż ci dobrze gorąco będzie. Wreszcie użyję przypalania boku i palców u rąk i nóg. A jeżeli to wszystko nie wymoże przyznania się do zbrodni, tedy rozpiętą zostaniesz na zwykłej torturze, którą powolnie natężając, jeżeli się nie przyznasz, do tego stopnia dośrubuję, iż ci ze stawu wszystkie członki wyjdą. Nie sądź, żeby te zadane męczarnie śmierć zrządziły, jeżeli je z zaciętością zniesiesz i nic nie zeznasz, lekarz więzienia wyleczy cię i znów przyjdziesz na moje ręce. Ale pamiętaj, że wtenczas jeszcze sroższe i dłuższe męczarnie przechodzić będziesz!“

Zofja Zarębianka wysłuchała kata z przerażeniem i rzekła:

„A więc tu śmierci odrazu mi zadać nie myślisz?“

— „Bynajmniej, mam tylko polecenie zmusić cię powolnemi męczarniami, abyś przyznała, świadkami utwierdzoną, a przez ciebie spełnioną zbrodnię“ —.

— „Otóż zrobię to, czego po mnie wymagacie, i oświadczam nieodwołalnie, iż jestem matką zamordowanego dziecka“ —.

Takie protokólarne Zofji przyznanie, zgodne z wyznaniem świadków, sąd odebrawszy, wydał na nią wyrok śmierci przez ucięcie głowy.

Już rusztowanie w rynku Starego Miasta wystawiono; pułk Działyńskich odebrał rozkaz trzymania przy egzekucji porządku, a tej publicznej i uroczystej karze dla przykładu drugich tysiące widzów miało być świadkami, kiedy w wigilję wykonania wyroku, Zofja, widząc bliski swój koniec, pragnęła złożyć brzemię swych błędów u stóp kapłana i tym celem wezwała w owych czasach słynnego ze światła wymowy oraz pobożności kapłana z zakonu Ojców Kapucynów.

Po odmówieniu ze skruchą modłów, z pokorą przystąpiła do wyznania grzechów, z których otrzymała rozgrzeszenie. Gdy spowiednik kończył odmawianie psalmów pokutnych, z podziwieniem przyszło mu na myśl, że Zofja główny grzech, o który ją sądy ludzkie potępiły, zataiła na odbytej spowiedzi. Pragnąc ją mieć na drodze zbawienia i śmierć przez pociechę lepszego w przyszłości życia znośniejszą uczynić, kapłan przedstawił w tej mierze o jej zbawienie swoją obawę.

Zofja, usprawiedliwiając się, starała się czcigodnego kapłana zaspokoić.

— „Ojcze duchowny! jutro mam się przenieść do wieczności, to przeto trwoga przed śmiercią, bojaźń sądu przed Stwórcą, żal, pokora, wszystko to naprzemian moją duszę przejmuje. Gdybym tedy zarzutu zbrodniczego była winną, miałabym go przed Tobą przemilczeć i nie błagać o rozgrzeszenie przez wzgląd na wycierpane już tu męczarnie i karę śmierci?“

Na to kapłan:

— „Ależ, moja duszo, zeznanie tylu świadków i twoje przyznanie się do zbrodni?“

— „Świadkowie są to poddani w służbie dworskiej, którym *niewistną* stąd byłam, że ich źle żywiono, a ekonomowi pobłażałam zbyt może surowe z niemi się obchodzenie. Przez zemstę tedy zarzucono mi tę zbrodnię, a świadkami, składającymi się z nieprzyjaznych mi domowników, utwierdzono Sąd w przekonaniu, żem się jej winną stała.

W tak okropnem położeniu, uprzykrzywszy sobie dokuczliwe więzienie, przejęta grozą zawziętych a niesprawiedliwych ludzi, nakoniec zagrożona powolną męczarnią tortur, aby raz męczarnie skończyć, przeniosłam stanowczo śmierć nad przewlekłe i bolesne cierpienia. Dlatego przyznałem to, czego po mnie kat wymagał, w tem przekonaniu, że Bóg mnie niewinną tej zbrodni widzi, a przed ludźmi niepodobna mi będzie usprawiedliwić się“!

Kapłan, wysłuchawszy z zastanowieniem tego zeznania, wziął sobie za obowiązek ratować niewinną i zapewnił Zarębiankę, że jeżeli tak jest, użyje wszelkich środków, aby uniewinnioną została. Nieszczęśliwa podziękowała za pociechę, którą wlał w jej zbolałe serce, polecając się zresztą Bogu.

Prosto z więzienia Zofji udał się do księcia Prymasa i wyjawił przed nim okropną tajemnicę. Książe Prymas przyrzekł pomoc, której nie odwlekając, pojechał niebawem do Marszałka W. Kor., a nawet, gdy czas naglił, do samego króla Stanisława Augusta. Kazano natychmiast wstrzymać egzekucję wyroku; świadków zaś wziąć pod ścisłą straż i inkwizycję, w toku której przyznali, że na cmentarzu wykopali świeżo pochowane dziecko, które w dworskim ogrodzie

zagrzebawszy, ażeby się pozbyć nieznośnej gospodyni, oskarżyli ją o zbrodnię dzieciobójstwa.

Po takiem odkryciu fałszywego świadectwa wyrok zapadły na Zofję Zarębiankę z mocy dekretu królewskiego skasowany został. Nadto król polecił w całym państwie wypadek ten ogłosić, aby zwrócić uwagę sądów na okropne skutki używania tortur przy badaniach sądowych, a wreszcie w 1778 wyszło postanowienie królewskie, znoszące w zupełności używanie lub straszenie torturami przy inkwizycjach, aby zaś Zofji Zarębiance publicznie przyznać dobrą sławę, Monarcha zaprosił ją do swego stołu, a za tegoż przykładem poszedł książę Prymas i inne domy magnatów.

RZEŹ W HUMANIU

Opisana rzetelnie, wiernie i dokładnie przez znajdującego się w tejże okropnej rewolucji świadka naocznego Pawła Mładanowicza.

...Około godziny 10-tej w poniedziałek przed samym św. Janem przybiega pikieta do komisarza Mładanowicza z doniesieniem, że jakieś podstępuje wojsko. Kazał natychmiast alarm bić, „do broni“ krzyknąć. Stanął regiment, kozacy i milicja zielona. Pozycja drogi była taka, że z jednej strony były wysokie wały, a z drugiej szpital i dół spadzisty do rzeki Humenki prowadzący. Ciasna była im do przejścia droga. Jednak szło prosto do bramy wojsko, żadnego nieprzyjacielskiego nie dając znaku. Był przypadkiem w Humaniu pod ten czas kwestarz bernardyński. Spodziewając się, że nie będzie napastowany, wyjechał z Humania przed alarmem i napadł na podstępujących. Wzięto go na spisy! Dała się zaraz potem słyszeć nasza harmata; ale gdy żaden nie padł, Mładanowicz odepchnął puszkarza i sam, wyrychtowawszy harmatę, dał z niej ognia. Całą drogę obsypało trupami, drugi raz, trzeci raz. Ten z harmat wystrzał przymusił nieprzyjaciół do cofnięcia się i do skrycia się za wałami. Mładanowicz komenderował, biegał zachęcał, pomagał, obdarzał. Ogień z harmat był nieustający, nie do nieprzyjaciół, (bo nieprzyjaciel za wały wysokie skrył się i stał za wałami) ale żeby w obozie wiedziano, że Humań już oblężony i żeby wykonano ordynans brania tyłu nieprzyjacielowi. Mładanowicz patrzył przez swoją doskonałą perspektywę i wyglądał egzekucji planu i swego ordynansu. Zdziwiło go, że koło godziny

dopiero piątej sam bez rotmistrza Obucha szedł Gonta. Zdrętwiał na to i martwy stanął, mowę stracił, dopytać się nie można było o nic. Kapitan Lenard robił wszystko. Mładanowicz, stanąwszy na swojem miejscu, oparłszy się o bramę, słowa wymówić nie mógł. Kostecki do kościoła napełnionego ludem przyszedł, zapowiedział śmierć pewną i gotowanie się na śmierć. Nazajutrz gromady chłopstwa dokoła Humania zgraję robiły. W nocy, która była bez księżyca i ciemna jak loch, piechota wszystka, milicja zielona, dragony, wszystko to do Gonty zbuntowane przeszło.

W Humaniu sama tylko szlachta i żydzi zostali się. Miasto bez żadnej obrony, ściśnione dokoła, pozbawione wody, wiśniakiem, miodem, piwem ratowało się. Od takiego ugaszenia pragnień swoich, wszyscy potracili głowy i ani do harmat, ani do broni ręcznej nie stali się sposobnymi. Żydzi, do obrony spędzeni, żadnej ochoty nie oświadczyli i w szkole zamknąwszy się na modłach przestali. W tem Gonta na rozmowę Mładanowicza prosi. Ten nie odmawia, ale pół już martwy i o pół duszy tylko przytomny. Na przyrzeczone i wyproszone bezpieczeństwo pod bramę z końmi kilku podjechało z oświadczeniem, że temu wojsku bronić się nie można, jest gwarantki kraju samej Katarzyny imperatorowej. Kazał Gonta po tych słowach na przekonanie Mładanowicza rozwinąć chorągwie, na której z jednej strony był wyszyty portret imperatorowej, na drugiej ukaz wypisany szukania konfederujących się i rozpędzania.

Na to ich przekładanie zapytał się kapitan Lenard:

— Co z nami myślicie zrobić?

Odpowiedział Gonta: „W ręku jestem wojska imperatorowej, spytajcie się władzy".

Na te słowa Lenard krzyknął: „Poddajemy się, na chleb i na sól prosimy".

Ale Rogaszewski krzyknął: „Strzelić do szelmy. Łże i zwodzi, jak już zwiódł!"

Odpowiedział Mładanowicz: „Dałem mu przyrzeczenie, dochować go muszę. Do gadającego strzelać nie pozwalam, do odchodzącego strzelcie" i położył się na harmacie. Gdy wszyscy krzyknęli na to: „Źle, broni szelmę" — podniósł się i wymówiwszy te słowa: „radźcie sobie, ja idę do kościoła i oddaję się Bogu, bo Bóg tylko naszym ratunkiem", odszedł od bramy do kościoła. Nie wyszła godzina, a zgraja kozaków wpada do kościoła. Przytomni w kościele, a pań tam najwięcej było, nie przepuścili napastników dla pełności. Więc kozak jeden u progu kościoła stanąwszy krzyknął: „wspomahajte!" Na słowo to „wspomahajte", zaczęły panie dawać worki ze złotem, bransoletki złote, sztuczki złote, srebrne, w różnych formach, już rybki, już walce i co kto drogiego miał. Sam jeden Mładanowicz nic mu nie dał, ale worek ze złotem rzucił córce, za sobą stojącej, i dał obraz zdjęty z siebie, co nie dało się utaić.

Gdy tak idą rzeczy, przychodzi do kościoła Gonta. Kozak, ten co się wspomógł, czyni perorę do Gonty:

— „Harnenko Lachywki prosiatsia, potreba perepustyty".

Odpowie mu Gonta: „Szczoż z toboju bude, koły im perepustysz?" i odepchnął go.

Mówi Mładanowicz do Gonty: „Mospanie Gonto, pamiętaj coś przyrzekł!"

Wtedy Asamenko, towarzyszący Goncie, wymówił te słowa: — „Teper prosyszsia, a moi woły choroszyi, szczoś na skarb wziaw, jak sia majut?“

Odpowiedział Mładanowicz: — „Ale nie dla siebie wziąłem“.

Powtórzył Asamenko: — „My tebe tylko znajemo, nie znajemo toho inszoho“.

Gonta: „Cztery tylko familje ocaleją: pana Mładanowicza, pana Rogaszewskiego, pana Markowskiego, pana Obucha, reszta zarżnięta będzie“.

Nie dał się Mładanowicz wyprowadzić pierwszy. Został się do pomodlenia. Rogaszewskiego wyprowadziwszy zaraz go Gonta zabił, potem wyprowadził Mładanowicza, mówiąc mu: „Kto tylko jest z familji Mładanowicza, niech się wiąże, ocaleje“! Wyszedł z kościoła Mładanowicz, wyszła i żona jego, lecz gdy po matkę do kościoła wróciła się, gdzie pod trumną z relikwjami zastała już ją zabitą. Wszystkie szlachcianki za panią Mładanowiczową obróciły się. Sam synek Pawluś tylko przy ojcu został. Gdy wyszli z kościoła, zamieszanie!... Kozactwo już szalało. Zaraz Mładanowiczową ubili.

Na ten widok wszystkie jej towarzyszące panie do bliskiego zabiegły zamku, który jeszcze był bez Kozaków. Zamek ten czterema bastjonami był otoczony, na dwa piętra wysoki każdy. W środku miał dziedziniec, mogący kilka tysięcy ludzi pomieścić. Po bokach tego dziedzińca była z jednej strony stajnia na sto koni i więcej, z drugiej magazyn wielki w dwu piętrach, ganek na schodów dwadzieścia był do zamku wstępem. W tym ganku panie siadły.

Tymczasem Mładanowicz przez Gontę wyprowadzony, wyprosił sobie Kozaka, którego Gonta mu przydał, żeby wołał: „Nie zaczepiaj“. Droga, przez którą szli, już była wysłana trupami. Trupy wszystkie odarte były z koszuli, kozactwo od jednego końca do drugiego przed oczy przelatywało; krzyk, hałas, lament, pomięszanie, okropność robiły w uszach! Dzieci na spisy wzięte okropny i przerażający czyniły widok. Wybijanie okien, rozwalanie pieców, wypędzanie z domów przez jednych, przez drugich branie na spisy wypędzonych, tratowanie końmi niedokłutych, mowę zamknęły Mładanowiczowi. Wtedy Gonta w wesołej twarzy odezwał się: „Dywysia, pane podstoli, jak hulajut!“ Poczem z najweselszą twarzą wymówił: „żona pańska już nie żyje i jest zabitą“. Zaczem wszystkich zamknął w alkierzyku.

Było to koło godziny drugiej. Koło piątej przychodzi srogi kozak, otwiera drzwi alkierzyka, gdzie było blisko 30-stu osób, i naokoło spoglądając mówi: „kotory to z was Mładanowycz, nehaj ide do Gonty naszeho na słowo!“

Ruszył się w momencie Mładanowicz, a z nim synek jego Pawluś. Była przyźba, przy tej przyźbie stał koń Gonty, ubrany w pistolety, nakrycia adamaszkowe, aksamitne, atłasowe, w złoto haftowane i w inne kawały wiszące złote, srebrne i brylantowe. Po jednej stronie stali kozacy, po drugiej Żeleźniak i Gonta. Ten rzecze do Mładanowicza:

— „Skaży hde twoi hroszy?“

— „Nic nie chowałem, żebyście mnie nie męczyli. Na wierzchu wszystko leży“.

— „Rozbieraj sia, już ty ne pan“.

Mładanowicz wstał z przyźby, od trupa bledszy, oparł się o nogę Gontowego konia i podał but do zdejmowania kozakowi. Był w żupanie peruwianowym na białem tle z zielonemi kwiatkami, kontuszu sukiennym, popielatym w pasie w karpią złotą łuskę haftowanym tureckim, w czapce białej aksamitnej z barankiem drobnym krymskim siwym suto. Kozak but zdjął, potem nakrył swój łeb czapką Mładanowiczowską, a swój jołom czarny kapszukowaty precz rzucił. Gonta zaś krzyknął gniewnym głosem: „Nie howorysz?“ Na te słowa, Pawluś, nie uważając na ojca, ani się na niego nie patrząc, Goncie padł do nóg, a Gonta: „Prosyt czoby batka smerty ne baczyw, Szyło!“ (takie było nazwisko kozaka) „odwedy jeho i nedaj zabywaty“.

Wtedy Pawlusia odwiedli i przy ratuszu siedzieć kazali, gdzie zdobycz była składaną. Z jup samych żydowskich cała sterta usypana. Złota, srebra ogromne stosy, miedzi ogromniejsze jeszcze stosy, kufry rozbijane. Widział tu Pawluś kozaków, wdziewających na siebie po pięć, po sześć kontuszów, potem robronami dwiema, trzema i więcej konie nakrywali, potem ludzi około ratusza stojących zabijali różnie, już strzelaniem z pistoletów, już wzięciem na spisy, już nożami zarzynaniem. Kozak Szyło odpędzał przypadających z pistoletem i wołał: „to lackaja detyna ne nasza. Darowany żytiem od Gonty!“ Przez ten sposób usuwał zapalonych. Wtem odezwały się harmaty dotąd milczące, nieustający huk nie dał wyraźnie słyszeć wołań z różnych stron. Były zaś tak okropne, że Pawluś, odwróciwszy do kozaka, powiedział mu: „Nie mogę tu ja wytrzymać. Zaprowadź mię, gdziem był wprzódy“. Po zaprowadzeniu do tegoż samego alkierzyka, skąd ojciec był

wyprowadzony, kozak powiedział Pawlusiowi: „Ty żyjesz i bude druhy żyty, koho choczesz, ale tylko jeden“. Po usłyszeniu słów tych wszyscy prosić i ręce wyciągać zaczęli, wołając: „mnie“. Pawluś pominął wszystkich, a dyrektora swego Chmielewicza wyprosił. Obu Szyło do cerkwi zaraz zaprowadził: „Lachami, mówiąc, nemożete buty, prawosławnuju wiru treba pryniaty“.

Przez rynek szli. Tu okazał się okropny widok! Trupami, jak był obszerny, rynek usłany, wszystkie trupy obdarte były z koszuli. Leżały różnie, jedne twarzą do ziemi, a tyłem ku niebu, drugie tyłem do ziemi, a przodem ku niebu. Okna we wszystkich domach wybite, książki, piernaty prute powyrzucane na ulicę. Pierze, przez wiatr rozsypywane, okrywało trupy. Trzeba było po brzuchach stąpać, a za nastąpieniem wybiegały z brzucha kiszki.

Rozwalono wtedy też harmatami szkołę żydowską, w której zamknąwszy się, żydzi podrzynali wpadających i kilku tym sposobem zarznęli. Zatoczyli hajdamacy 3 harmaty, jedną w drzwiach postawili — a dwie po bokach, kartaczami znalezionemi nabili tę, która była we drzwiach, a po bokach kulami jabłku równemi waląc w ściany, w dach, w okna, robili łoskot ogromny. W drugich miejscach słomę, siano, drzewa, chróst przed lochami palono, aby udusić dymem tych, którzy się w lochach pochowali; uduszonych obdzierali do naga ze wszystkiego.

W zamku nowa postać rzeczy dała się widzieć, gdy wpadli rabować zamek. Powyprowadzali konie naprzód ze stajni i powsiadali w podjazdy, jakie tam były. Od stajni poszli do mieszkania. Gdy dano znać Goncie, że panie są w zamku, rozkazał je do cerkwi

zaprowadzić. Między gronem tem była Konstancja Jankiewiczówna, siostra pierwszej żony Mładanowicza; ta, gdy ją pędzono do cerkwi, spytała się:

— A po co pójdę tam?

— „Perechrystysia na naszuju wiru“, powiedział kozak.

— „Raz jestem chrzczona, dwa razy chrzczoną być nie mogę“ powiedziała.

W gębę potężnie uderzył ją za te słowa kozak. Nie rozgniewała się. Klęknęła w środku ganku.

— „Bij, rzekła, więcej razy jak raz, wartam być bitą za moje grzechy“, grzmotnął ją w pysk kozak po raz drugi i pobiegł do Gonty: „Lachówka, raportował mu, jedna jest, szczo wsich buntujet“. Przypadł do zamku w ogniu wielkim Gonta i, znalazłszy ją modlącą się i polecającą się Bogu, w łeb uderzył ją obuchem czyli kijem, albo laską z młotkiem dużym u spodu.

— Gińcie, — zawołała, — razem ze mną. Nie masz piękniejszej śmierci, jak umrzeć za wyznanie tej nauki, której nas kościół święty apostolski, rzymski uczy“.

Tu ją Gonta, uderzywszy drugi raz obuchem, skrwawił mocno. Padła twarzą do ziemi na to uderzenie, a Gonta rozjuszony pogruchotał jej głowę na drobne trzaski. Widząc ją zabitą, dały się zabić z nią razem: Joanna Mładanowiczówna, siostra komisarza 16 lat mająca; Dorota z Mładanowiczów Będzińska i inne. Druga córka Mładanowicza, Weronika, nie chciała umierać. Gdy jej kozak powiedział raz, powiedział drugi raz: „Widdaj hroszy, szczo majesz od Batka“ zaparła się; pokłuta za to, wyrzuciła worek ze złotem i do cerkwi

dała się zaprowadzić. Rogówka żelazna, jaką miała na sobie, nie dopuściła żelazu głęboko zapaść, i ten przestrach przemógł. Chrzcili ją w cerkwi. Chrzest ten tylko z pokropienia wodą święconą składał się; gdy innych nagich w wannę kładziono, włosy ustrzygano i „lachuju wiru“ wyklinać kazano.

Potem w cerkwi Bazyljanów zabito rektora Kosteckiego, duszę wielką, a zabito po powiedzianem i wysłuchanem kazaniu. Zabity też, kryjący się na chórze Markowski, chorąży żwinogrodzki; Bondyniowa wdowa po doktorze Bondyniu, w ciąży będąc, przebrała się po grubemu, a wydana od kobiet złych, skryła się w trzcinę, którą kawał Humenki był zarósł. Do tej trzciny para młodych chłopców przybiegła zarzynać ją. Wydarła obydwom noże i pyski wybiła. A na ich groźby, że zawołają starszych, urodziła bliźnięta. Trzy dni siedziała w trzcinie i dzieci karmiąc, szukana i nieznaleziona, potem siły mając do wydobycia się i krycia, utracie życia nie podpadła. Potem wicerektora, kaznodzieję i Margierewicza trzeciego odarli z sukien, koszule tylko zostawiwszy na nich. Włożyli potem na nich jarzma wołów i głowy ich tak zaprzęgli, jak zaprzęgają się woły. Od ich kolegjum pędzili ich tak do miasta, prażąc nahajami. Wytrzymali to wszystko cierpliwie i powolni prześladującym, nie płacząc ani na ból od niemiłosiernych smagań, ani od procesji około ratusza przez trupy po kilka razy wywracając się; z wesołością przyjmowali wszystko.

Kazano potem mszał przynieść z cerkwi i kazano im czytać: „wiruju w Boha!“ Przytem bili ich w gębę potężnie po kilka razy; zostali nakoniec za domostwo wyprowadzeni. Tam spisami w pierś ugodzeni, tru-

pami padli. Kościół łaciński, obdarty brzydko, postać pustki wziął. Podłoga z niego wyrzucona, ławki porąbane; środek rozkopany został jamą, w której szukano zakopanych pieniędzy, a komunikanty z puszki wyrzucone śmiech robiły. „Oto Boh lacki!" wołania ich były.

Komendarz ks. Wadowski z kopuły, gdzie się schował, sprowadzony był i ściągnięty na pasku św. Franciszka, który na sobie nosił. Powieszonym został, psa z jednej strony, z drugiej strony mając w asystencji powieszonego żyda. Pan Szafrański geometra, na baszcie (albo jak zwano bastjonie zamkowym) stojący, zamknąwszy się, mężnie strzelając z góry i za każdem wystrzeleniem jednego trupem kładąc, długo tail się i ukrywał swoje strzelanie. Nakoniec położywszy siedmiu, wyjawił się, do wpadających wyszedłszy, na tych słowach swe zakończył życie: „Już, już wraże syny!" Ciało jego na spisy wzięte, z koszuli obdarte i nieruszone, tak od słońca sczerniało, jak gdyby murzynem był afrykańskim.

Noc nastąpiła. Na tę do jednej izdebki małej spędzono wszystkich niezabitych, gdzie taka ciasnota była, iż głowę jeden na drugim położywszy, tak drzemał. Było do osób trzydzieści, nie więcej; mężczyzn trzech, reszta kobiety, żydówek najwięcej. Noc cała w krzykach wielkich była. Jedni napadali i krzyczeli: „Nechoczymo, czoby zistawała sia laszyna". Drudzy odpierali napadających i bronili od odepchnięcia, krzycząc wzajemnie „tu laszyny nyma, tylko na żynki diwoczki". Ucierania się, mordy i bicia siebie wzajemne trapiły włóczących się.

Nazajutrz w domu Bohatego, (który w niedziel cztery, od brzucha pękł fatalnie i, roztrzasłszy się, wylał na ziemię kiszki wszystkie swoje i umarł) Gonta każe wszystkim żyjącym przed sobą i Żeleźniakiem stawać. Przyszła najpierwsza pani Obuchowa, odebrała odpowiedź: „Budesz żyty". Przyszła Weronika Młada- nowiczówna, córka zabitego Mładanowicza. „Budesz żyty", powiedział. Przyszedł syn zabitego Pawluś i temu powiedział „budesz żyty". Żeleźniak dodał głaskając: „Moja uże detyna". Przyszły osoby inne i tym toż powiedział samo. Na samym ostatku przy- szedł Chmielewicz; temu powiedział: „ne budesz żyty". Zaczęli ocaleni i darowani życiem prosić się wszyscy. Nikt nic nie otrzymał. Pani Obuchowa, sama wdawszy się, tyle sama uzyskała, że jej powiedział: „Budesz Chmielewiczu żyty, ale diakom u cerkwi Preczystoj".

A kto wyszedł na ulice bledniał. Sznurem jed- nym i drugim i więcej leżały przed oknami malutkie dzieci do sześćdziesiąt i więcej, które prosiły o życie dla siebie i dla rodziców i wtedy zostały pozabijane.

Trzeciego dnia spędzono podwody. Gonta kazał z całego miasta trupy sprzątnąć i w studnię pustą, sześćdziesiątsążniową wrzucić. Pełną i nabitą do wierzchu została, jeszcze nie wszystkie pomieściły się i za miasto wywożono. Czyste miasto i czysty rynek ukazał się popołudniu...

PORWANIE KRÓLA I SĄD NAD ZMÓWIONYMI

FACTUM: KRÓL Z KAROCY PORWANY.

Konfederatów barskich — własne słowa ks. Kitowicza — wyglądających pomocy od zagranicznych dworów, łudzono taką obłudą, że potencje zagraniczne póty nie mogą się odezwać za konfederacją, dopóki król na tronie spokojnie siedzieć będzie. Trzeba koniecznie wypędzić go z Warszawy z otaczającemi go stanami i magistraturami, aby się tym sposobem bezkrólewie, ogłoszone na papierze, rzeczywiściej pokazało. Pułaski tylko był jeden, który takowym bechtaniom ślepo wierzył i do wykonania zamiarów jeneralności z wszystkimi konfederatami rad chodził na wyścigi; a widząc, że otwartą siłą nadaremnie kusiłby się wygnać króla z Warszawy, wojskiem rosyjskiem i krajowem napełnionej, umyślił skrytą sztuką porwać go i uwieść do Częstochowy, albo, gdyby go żywcem nie było można dowieźć, gdziekolwiek na drodze zamordować. Na taką tedy sprawę wybrał niejakiego Łukawskiego, szlachcica konfederata. Ten znowu przybrał do siebie pewnego plebejusza Kuźmę z urodzenia, (Kosińskim w konfederacji zwanego), kiedyś za „lajbuzara" u księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, służącego. Ten znowu obrał sobie trzydziestu innych, na to wszystko odważnych. Wprowadzali się tedy ci ludzie do Warszawy po jednemu, po dwóch, z furami, sianem, zbożem jakiem lub innem czemkolwiek naładowanemi; w środu ładunku mieszcząc ukryty

oręż i siedzenia na konie. Zjeżdżali się zaś do stajni dominikańskiej na Nowem Mieście pod klasztorem będącej, do której, jako obszernej, pospolicie fury z produktami zajeżdżają. A tak ostrożnie z sobą postępowali, jakby każdy z nich był z innej strony i jeden drugiego nie znał. Pomieniona stajnia była placem umówionym, na którym każdy miał się drugim prezentować, aby widzieli, że już są wszyscy.

Gdy już postanowili termin, kiedy mieli wykonać przedsięwzięty zamysł, Łukawski tego dnia znajdował się z karetą niedaleko od Warszawy. Pułaski zaś o tymże czasie wyszedł z fortecy w Częstochowie, aby prędzej mógł uchwycić nadwiezionego króla. Owi zmówieni w Warszawie, obrawszy sobie noc jedną na wykonanie dzieła swego, zebrali się na koniach z bronią w jedną uliczkę małą, Kapitulną zwaną, naprzeciwko pałacu, wedle kościoła Kapucynów leżącego, w którym wtenczas mieszkał książe Czartoryski, kanclerz wielki litewski, którego w tej chwili odwiedził król.

Noc ciemna i długa jaka bywać zwykła w listopadzie, posłużyła zmówionym. Naprzód, iż lud rozmaity, snujący się po ulicach, w ciemności nocnej nie mógł ich rozpoznać, a zatem biorąc ichże mylnie za ułanów lub innych żołnierzy w Warszawie stojących. Powtóre, przechodzący mimo nich ront ułanów królewskich, pod osłoną tychże ciemności nie mogąc ich także rozpoznać, spytawszy się kto są? i odebrawszy odpowiedź po rosyjsku: ront kozacki — minął ich spokojnie, a oni zostali w miejscu, czekając na swój połów, który się wprędce nawinął.

Król bowiem, niedługo zabawiwszy u książęcia kanclerza, wyjechał wcześniej, niż miał zwyczaj kiedy

indziej. (Nieszczęście kogo ma spotkać, to go podwiedzie i na miejsce i na moment przeznaczony). Udał się prosto ku zamkowi. Nie miał przy sobie więcej ludzi, tylko dwóch hajduków z pałaszami podług zwyczaju ich służby, dwóch lokaji, dwóch paziów i dwóch dworzan, jednego Ośniałowskiego, drugiego Bachmińskiego i jednego gen. adjutanta Poniatowskiego, tudzież dwóch laufrów, zwyczajnie przed karetą biegających. Jak tylko król wyjechał z bramy pałacowej na ulicę, zwaną Miodową, kilka kroków, natychmiast obskoczyli go zmówieni, rzucili się prosto do karety, od której naprzód uciekli lokaje i paziowie jako bezbronni, przed nimi zaś laufrowie. Toż dworzanie i adjutant Poniatowski, stangret i foryś, uskoczywszy na bok od koni, przypatrywali się, co się stało i na czem się skończy? Ośniałowski tyle pokazał odwagi, iż wystrzelił do onej hurmy z pistoletu, lecz gęstszym ogniem obsypany, uciekł z drugimi na koniu postrzelonym w kark. Sami hajducy zostali przy królu, którego wywleczono z karety. Nie chcieli hajducy puścić go z rąk swoich, więc jeden z nich na miejscu zabitym, drugi ranionym w rękę został. Zmówieni, wydzierając z rąk hajdukom króla, w kilkoro karetę przestrzelili i samego w głowę acz lekko ranili. Wywlókłszy króla z karety, prowadzili pieszo między końmi, przykazawszy mu pod zginieniem natychmiast milczenie. Przeprowadzili go mimo „hauptwachu" artylerji koronnej, przed cekhausem udając się przed szyldwachem, że ront kozacki, i wyszli przez okopy prosto ku Marymontowi, w której drodze zgubił król jeden trzewik i kapelusz z głowy.

Tymczasem, gdy ludzie królewscy pierwsi i ostatni dali znać do zamku, pierwsi o ataku, drudzy już

o porwaniu króla — trwoga wielka powstała. Najpierwej zaś zaczęła przed księciem kanclerzem, który miasto bronić króla, jako mający dość ludzi i żołnierzy nadwornych, usłyszawszy, że jacyś ludzie króla na ulicy obskoczyli i atakują, kazał co prędzej zamknąć bramę pałacową. W zamku żołnierz stanął do broni i czekał na ordynans, którego dać mu kto nie miał, a trwoga rozbiegłszy się po Warszawie, wszystkich, bądź prawdziwym, bądź fałszywym strachem objęła. Książe Repnin, poseł rosyjski, na wiadomość porwania króla zamknął się w swoim pałacu, toż samo uczynił książe wojewoda ruski, toż samo inni panowie, aż gdy ronty wysłane opędziły po wszystkich kątach Warszawę i nikogo obcego nie wyszperali, dopiero też panowie, ochłonąwszy z pierwszego strachu, i wojskowi starsi pozbiegali się na zamek, naradzili się, coby w takim razie ku ratunkowi króla wziąć przed się należało: czy posłać pogoń za łotrami, czy nie posłać; książe podkomorzy koronny, brat królewski, za którym poszła cała familja królewska i panowie polscy, dał zdanie, aby nie posyłać; uważali tak: albo ci hultaje mają rozkaz zabić króla, albo też porwać go żywcem i przyprowadzić do hersztów swoich. W pierwszym zamiarze pogoń już króla żywego nie zastanie, albo, gdyby jeszcze zastała, to mu śmierć przyspieszy, któregoby zapewne żywego odstąpić nie chcieli. W drugim zamiarze równie pogoń byłaby szkodliwa, któregoby zamordować nie omieszkali, gdyby go żywcem doprowadzić nie mogli!..

W takim rozporządzeniu postanowili czekać do dnia białego, który miał im ukazać jaśniej, czegoby się jąć mieli.

Zmówieni, wyprowadziwszy króla za okopy, udali się z nim ku borkowi kamedulskiemu. Kuźma herszt, zmiłowawszy się nad królem, na jednej nodze bosym i z gołą głową, do tego ranioną, będącym, kazał z swoich jednemu pożyczyć królowi buta, a drugiemu czapki. A jak to pospolicie bywać zwykło, iż ci, którzy się dla zysku na jaką odważają zbrodnię, łatwo się skłaniają na drugą stronę, gdy im ta widzi się być pożyteczniejsza; tak i Kuźma, wystawiwszy siebie w myśli daleko większe nagrody od króla przywróconego, niż miał obiecane za porwanego, począł natychmiast pod różnemi przyczynami oddalać potrochę swoich kolegów, wysyłając jednego za drugim w różne strony, niby pilnując się zewsząd od pogoni; a gdy tylko sam jeden został z królem, począł mówić do niego: ,,Chociaż ja ciebie mam w ręku, znam jednak, żeś ty jest moim królem; jeżeli mi przyrzeczesz słowem królewskiem, że mi darujesz to przewinienie, odtąd będę twoim obrońcą, uprowadzę cię na miejsce bezpieczne i odprowadzę do Warszawy".

Po tych krótkich traktatach, udał się wstecz z królem do pobliskiego młyna, gdy ludzie jego po bokach rozesłani, postępując wprost i rozumiejąc, że zdążą ku Kuźmie, tembardziej się od niego oddalali. Przyprowadziwszy króla do młyna, kazał młynarzowi dać co prędzej znać do koszar gwardji pieszej koronnej, owego młyna najbliższej. Król pieszą drogą niewczesną, jakiej w życiu swojem nie próbował, i niebezpieczeństwem życia strudzony, położył się na łóżku młynarskiem, a Kuźma z dobytym pałaszem wartę nad nim we drzwiach odprawował. Skoro młynarz dobiegł do koszar, natychmiast wysypało się do niego sześćset

gwardjaków, wsadzili króla do kolaski, z sobą przyprowadzonej, w której na przedzie usiadł jeden oficer obok z Kuźmą.

Skoro król stanął w zamku pełnym panów, natychmiast oznajmił wszystkim dobrodziejstwo Kuźmy. Kazał go zaprowadzić do jednego apartamentu, przykazawszy dla niego wszelkie bezpieczeństwo i wygody, jako mającego zaręczoną słowem królewskiem wdzięczność.

Odbierał potem król jegomość powinszowania od panów szczęśliwego powrotu na tron z gardła śmierci. Prezentował zranioną głowę swoją, poprzebijaną i poprzecinaną suknię w przytomności tychże panów; kazał przywołać do siebie z księgami rejenta grodzkiego, warszawskiego Puchałę, przed którym uczynił obdukcję rany zadanej w głowę; podobnaż obdukcja uczyniona była w kancelarji sukni królewskiej, karety, konia Ośniałowskiego w kark postrzelonego, hajduka obciętego w rękę i proklamacja ciała drugiego hajduka zabitego.

Kuźma acz przy wszelkich wygodach, był atoli pod mocną wartą trzymany; egzaminowano powoli jego sprawę, z którą on bynajmniej się nie taił. Wydał bilety, które miał przy sobie od Łukawskiego, które były stylem tajemniczym pisane. Doniósł oraz, gdzie Łukawski postanowił na niego czekać i gdzie mu się z królem kazał przebierać. Posłano zatem co prędzej kilkadziesiąt koni i schwytano Łukawskiego z innymi kilką i z kolaską, na której król miał być uwożony.

Zaczęto przeciw wszystkim razem proces kryminalny przed senatem, ciągnący się kilka niedziel.

Łukawski nie chciał żadną miarą przyznać się, aby był sprawcą porwania króla, lubo Kuźma wymawiał mu w oczy, że na to był od niego, a on od Puławskiego namówiony. Bilety owe enigmatyczne tłumaczył Łukawski, że się ściągały do przemówienia gwardji koronnej na stronę konfederacką, czego dopiąwszy dopiero miał zrobić w Warszawie rewolucję, której na pomoc Puławski miał pośpieszyć. Porwanie zaś króla zwalał na samego Kuźmę, jakyby z domysłu swego na zlecenie tak jego, jak Puławskiego, przedsięwzięte.

Król zasiadł na tej sprawie nie jako sędzia, lecz jako strona i dziwnie poruszającą wymową obstawał za swymi zabójcami. Wiele razy stawiani byli przed sądem obwinieni, zawsze stawiano i Kuźmę, kładąc mu na nogi kajdany, a po sesji sejmowej zdejmując. Nakoniec wypadł dekret miłosierny dosyć względem zbrodni, a i taki jeszcze mimo usiłowanie królewskie, na ścięcie Łukawskiego i innych dwóch, na który dekret ledwo król pozwolił, przekonany od senatorów, iżby szkaradna suspicja padła na cały naród, gdyby winowajcom życie było darowane. Stracono ich więc publicznie w rynku warszawskim podług dekretu.

KTO NAJGOREJ W SĄDZIE PRZEMAWIAŁ?

Ciągnęła się długo sprawa Kuźmy i towarzyszów. W półtora roku po zbrodni obrażonego majestatu wszczęła się na dniu 7 czerwca 1773 w izbie senatorskiej na Zamku głośna królobójców rozprawa. Prawili długo i kwieciście instygatorzy, metrykanci i patroni obżałowanych, także dworzanin królewski Ośmiałowski wygłosił promieniste oskarżenie przeciw sprawcom,

były potem indukty, repliki i dupliki, czytano przed sądem listy Pułaskiego i Frankemberga z usprawiedliwieniem, co wszystko razem zwyż dwa miesiące *continuabatur*.

Wszelako największy tłok i ciekawość wypełniła izbę sądu na dniu owym, w którym król Stanisław August, dotąd na sali nieobecny, wszedł, otoczony marszałkami i ministrami, i zasiadł na urządzonym dla się tronie. W chwili gdy usiadł, marszałek dał laską znak wszczęcia sprawy i oznajmił, jako Najj. Pan mówić będzie. Nie wstając z tronu, prawił król w te pamiętne słowa:

„Nie jako sędzia w tem dzisiaj miejscu zasiadam, bo nim być w tej sprawie nie mogę, lecz na to tylko, abym prawdzie to wydał świadectwo, którego nikt nademnie lepiej wydać nie może. Winienem życie temu Janowi Kuźmie, którego tu macie przed oczami. W nocy owej z 3 na 4 Novembra 1771 roku, gdym już był w ręku porywających mię ludzi, słyszałem ich kilkakrotnie mówiących do tegoż Kuźmy, naówczas rotmistrza swego: „pozwól nam go rozsiekać“, a on im za każdym razem zakazywał. On ich pierwszy do litościwszego ze mną obchodzenia nakłaniał i nawet do usług niektórych, mnie wtedy nieodbicie potrzebnych, rozkazem swoim przynaglał, jako to: że jeden musiał mi własnej ustąpić czapki, drugi buta; a niemałe dary to wtedy były dla mnie, kiedy noc słotna ranę w głowie mi jątrzyła, kiedy skrwawiona noga bez trzewika, bez obuwia żadnego, nieograniczoną mi co momet pomnażała boleść. Potem potrafił sztucznie oddalić dwóch ostatnich swych towarzyszów, a jak tylko sam ze mną został, tak zaraz królem swoim być mnie uznał, a wkrótce

potem, lubo mając broń w ręku, a mnie widząc bezbronnego i rannego i wcale na siłach zemdlonego, sam dobrowolnie padł mi do nóg, służyć obiecał, a co większa, mojej się zupełnie łasce i woli tak poddał i powierzył, że lubo miał jeszcze czas i sposobność ucieczki, wolał przy mnie zostać, wolał mi służyć i te mi słowa powiedział: „Ja wiem, że mię śmierć czeka w Warszawie, ale Cię już nie opuszczę, Panie, póki Cię tam nie odprowadzę“. Wtedy, do gruntu serca przejęty tą jego rezolucją, dałem mu słowo, że sam będę życia jego obrońcą. On na to upewnienie zaraz ochoczo począł mi służyć; on mnie doprowadził do tej chaty młynarskiej, w której doczekałem się przyzwoitego z Warszawy konwoju, i tam, gdym przez godzinę na podłej, lecz wtedy szacownej pościeli nieco spoczywał, był on poniekąd znowu panem życia mojego, a stał się onego stróżem. Musiał sam czuć dobroć tych wszystkich ostatnich postępków swoich, musiał zupełną w królewskiem słowie pokładać ufność, gdy nie przymuszony, dobrowolnie przyszedł do Warszawy, idąc spólnie z całym tym orszakiem, który mię naówczas otaczał. Nikt go nie miał na oku, mógł był schronić się i zniknąć, a sam pierwszy pokazał mi się w Zamku; znać, że mi wierzył, niepowinien więc być zawiedziony. Uiszczam się w mem słowie, mówię za nim, a bardziej sam za sobą. Mojaby była hańba, mój żal nie ukojony, gdybym ja niechcący stał się przyczyną zguby takiego człowieka, który mię od śmierci uratował kilkakrotnie i który mi dał dowód tak wielki o swojej rzetelności szacunku.

Przezacni Sędziowie! I wątpić sobie nie pozwalam, że wy zbyt dobrze czujecie, czego wasza własna szlachetność po was w tej mierze wymaga. Nie czyńcie

wiarołomnym króla waszego, króla, którego kochać tyle razy oświadczyliście się, króla, któremuby ledwie nie przyszło okropniejszą zachowywać pamiątkę wyratowania, niźli niebezpieczeństwa swego, gdyby ten miał ginąć, który mię wyratował, a za to jedynie, że się mnie powierzył. Wy, którzy tylekroć krew i życie za dostojeństwo moje ważyć ofiarowaliście, nie zadawajcie duszy mojej takowej rany, którаby się gorszą stała nad te, którem na ciele ponosił, gdyżby mi wasz dekret, dla Kuźmy niepomyślny, do ostatniego dnia życia mojego swobodnego nie zostawił momentu, gdyżby obraz krwawy wybawiciela mego, jako mściwa mara, niewdzięcznika imię i wiarołomcy ustawnie przed oczy wyrzucał.

Jako kochający mię Polacy, zasłońcie mię od tak ohydnego udręczenia. Jako Sędziowie, pamiętajcie na to, że jeżeli raz zgrzeszył Kuźma, kilka razy największą, która być może, zasługą pokrył, zmazał i sowicie nagrodził winę swoją. Jako statyści, ludzie, a najbardziej chrześcijanie, dobrze znacie, że byłoby to największym błędem odrażać od poprawy; byłoby to pogrążać w desperanckiem dokonywaniu każdy raz rozpoczętej zbrodni każdego, nawet takiego człowieka, któryby jeszcze do poprawy był sposobnym.

Ale jeszcze raz mówię: zdaje mi się, że krzywdziłbym oświeconą sprawiedliwość waszą i dobroć waszego serca, gdybym powątpiewał o tem, że Kuźma żyw i wolen będzie, i nie rozumiem, żeby srogość losów moich mogła się tak daleko rozciągać, aby ufność, w której do was najżywsze moje prośby o to zanoszę, miała być zawiedzioną.

Płynęły dotychczas z ust mych słowa, które dyktowały honor i wdzięczność, ile do tych mówiąc, którzy

tych powodów moc tak dobrze znają i one zapewnie równie ze mną dzielą.

Długo wątpliwie sam z sobą ważyłem, czyli miałbym w sprawie drugich aresztantów także otworzyć wam myśli moje, czyli też w bezstronnem milczeniu doczekiwać spokojnie mądrego i sprawiedliwego sądu wyroków.

Aliści głos wewnętrzny, głos przeświadczenia duszę moję przenikający, woła na mnie i mówić każe to, bez czego wyrażenia me serce uspokojonem być nie może.

Pomnijcie, proszę, zacni Sędziowie, na ów czas zamętu i zamięszania powszechnego, gdzie lud prosty i mało światła mający naturalną sobie skłonnością łatwo wierzył, że ten miał prawo rozkazywać, kto mu rozkazywać odważył się, osobliwie, gdy mu nikt nic przeciwnie nie mówił. W ciemnym więc ludzi gatunku tych wyszukano, którzy, mieniąc się być do żołnierskiego posłuszeństwa obowiązanymi, podjęli się to spełnić, w czem tylko wojenne niebezpieczeństwo, ale nie grzechu winę przewidzieli.

Gdy na ich omamienie świętości nawet zażyto pozoru, gdy groźnym ślubem trwożliwe nieoświeconych ludzi zawiązano sumienia, już występku, grzechu większego nie znali ci ludzie nad nieposłuszeństwo. A jeżeli, nie znając miary występku, grzeszyli, czy można ich też tak bardzo winnymi nazwać, a jeśli nie są bardzo winni, czyż można ich bardzo karać?

Wszak słyszymy w tej izbie Łukawskiego wywód: wyłuszczył dość jaśnie, że na życie moje nie godził, pojmania tylko mojej osoby miał zamysł i w wykonaniu nawet tej imprezy niechcenie, wstręt od zbrodni ostatniej dość jawnie pokazał. Na ostatek nie spełnił zupełnie danych sobie nawet rozkazów. Nie zbliżył się

do osoby mojej naówczas i przed zakończeniem tej sceny oddalił się od niej. A choćby nawet pokazał się w niej był czynniejszym, powtarzam, i nie darmo, tę uwagę: pomnijcie jaki to był czas!

Martwą być się zdała przeciwna narodowa zwierzchność; samo jej milczenie moc rozkazywania zdało się zostawować *primo occupanti.* A czegoż nie miała dokazać przybrana w płaszcz pobożności i patrjotyzmu chytrość, gdy dziwnym składem okoliczności, którego tu wyłuszczać (ile wam tak dobrze pamiętnego) nie masz potrzeby, wstrzymywała, pętała poniekąd silność sprężyn rządowych. Więcej powiem. Dziwować się można, że prędzej ten się nie ziścił przeciwko osobie mojej trafunek, uważając, wiele to przeciwnych osobie i dostojeństwu memu kłamstw maksym pilnie od lat kilku w Ojczyźnie naszej z różnych stron i różnych powodów rozsiewano, wiele różnego gatunku ucisków już wtenczas lud biedny ponosił, a których winę ci sami najczęściej, którzy ich byli przyczyną, sztucznie i złośliwie na mnie obracali. Wszak ten sam Kuźma, w tym samym czasie, gdy szedł ze mną przez las Bielański, pytał mię się, czemum ja kazał ścigać po domach już nawet nie chcącą dalej wojować szlachtę, a tak się właśnie zdarzyło było, że tego samego dnia w poranku uprosiłem sobie był od moc na to mającego obietnicę, która wkrótce ziszczoną była publicznem obwieszczeniem, że kto wojować przestanie i w swym domu osiądzie, tego za przeszłe żadnym już sposobem weksować nie będą.

Takiemi to fałszami ustawnie podżegano umysły ludzi odważnych, cierpiących, a nie mogących przez stan swój i edukację dojrzeć prawdy.

Jesteście wszyscy, przezacni Sędziowie, uczestnikami prawodawczej mocy; postanówcie prawa, któremiby nietylko kary na przyszłych królobójców najostrzejsze przykazane były, nietylko od nich dyspensowania samym królom moc była odjęta, ale to postanówcie, żeby było w mocy ustawnie trwającego i bliskiego osoby królewskiej urzędu, więzić, sądzić i karać, nie czekając sejmu, nie tych tylko, którzyby razić osobę królewską ważyli się, ale każdego, któryby śmiał powstać na jego dostojeństwo publiczną mową lub pismem, i żeby ten urząd miał moc i niszczyć i kazić z ohydą natychmiast wszelkie, bezimienne nawet, ale obraźliwe osobie i dostojeństwu królewskiemu pisma. Dotychczas niedołężność magistratur i tysiączne wybiegi, możność zapytania nawet o najważniejsze przestępstwa, często u nas czynią niepodobną albo tyle zwłokom i okolicznościom podległą, że czas i łatwość zostawuje chcącym źle czynić do bardzo wielu i wielkich dla całego kraju szkodliwości. Z których jedna z największych jest ta, że naciskany lud pospolity nową jakąś, często znienacka samorosłą mocą, a nie widząc żadnej innej przeciwnej, sam zaś nie mając sił potrzebnych do odporu wystarczających, ma łatwo i prawie mieć musi za prawe takowe rozkazy, którym się nikt w kraju nie opiera, których autentycznie nikt nie gani. Niech ten defekt będzie u nas wykorzeniony na czas przyszły, a nie będzie racji obawiać się zarzutu, który wiem, że jest od wielu czyniony, że jeśli tym, których sprawa teraz agituje się, będzie życie darowane, nikt swego pewnym nie zostanie.

Jak to mówię, tak jestem przeświadczony. Śmierć tych aresztantów okropne opodal puści zatrwożenie,

ale umysłów nie uleczy; zostawi tylko strach dalej kiedyżkolwiek rozciągać się mającej srogości, albo wrażać będzie pozór bardziej zemsty krwi chciwej, niż potrzebnej tak ciężkiej kary. Przeciwnych właśnie potrzeba nam lekarstw.

Trzeba dowodu jak najokazalszego, że jeśli były srogości, uciski i nieszczęścia w kraju naszym w przeciągu lat kilku, nie odemnie pochodziły, nie w mojej mocy było im zapobieżeć. Trzeba przymusić tych, którzy mię złym, tyranem, okrutnikiem nazywali, do poprawy niesprawiedliwego zdania. Mój przypadek na dniu trzecim Novembra dosyć przeświadczył, że jest potrzebne dokładniejsze i sprawniejsze obwarowanie osoby i dostojeństwa królewskiego (i to trzeba obmyślеć), ale razem dał widocznie poznać, jak głęboko wrażać potrafią przeciwne prawdzie mniemania o rzeczach, osobach i dobroci lub złości uczynków w słabe umysły z siebie, dość światła mieć nie mogące, zapędzony bez hamulca duch zawziętości i niezgody.

Wszak miłość i przywiązanie wasze do osoby mojej, równie jak stanu waszego powołanie, włada wami w wykonaniu aktualnej waszej sędziowskiej funkcji. Niechże przekładania, niech prośby moje mają w umysłach i sercach waszych pożądany skutek. Wszakem ja urażony, moja sprawa, a was proszę, zaklinam, niech się krew nie leje. Ale co powinno, mem zdaniem, najbardziej was determinować, jest to uwaga, że każdej kary ten jest tylko koniec, aby w czas przyszły i od występku odstraszyć i powszechność ubezpieczyć. Tym zaś dwom końcom stanie się zadosyć przez skutek ostrego postanowienia nowego, które uczynić w Ojczyźnie naszej wyżej doradziłem.

A jeżeli afekt i estymacja wasza dla mnie, przezacni Sędziowie, z użaleniem przyznały kiedy, że niewinnie ucierpiałem wiele, że szczera miłość moja dla Ojczyzny i nieodstępny o nią i za nią starunek nie zdały się zasługiwać na tyle gorzkości i umartwienia wszelakiego gatunku; jest w mocy waszej znaczną mi w nich przynieść ulgę. Darujcie mi życia tych aresztantów, to za największy od was przyjmę prezent! Póki sam żyć będę, najżywszą wam za to, przezacni Sędziowie, będę miał wdzięczność. A gdy bieg natury przyniesie koniec skołatanemu tyle troskami nieszczęśliwemu życiu memu, słodzej, spokojniej, przynajmniej konać będę, gdy wskutek pomyślnej teraźniejszej mojej do was prośby z tem większą ufnością te mi ostatnie serce ustom poda słowa do Boga: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy".

WYROK SĄDU SEJMOWEGO.

Dnia 27. sierpnia zebrał się sąd sejmowy dla odczytania zapadłego wyroku, co jednak nie nastąpiło, podniesiono bowiem kwestję wstępną, czy król ma być obecny przy czytaniu dekretu i kto go ma oskarżonym odczytać. Po długich dyskusjach rozwiązano wątpliwość w ten sposób, iż w myśl konstytucji z r. 1669, zmieniającej dawniejszą konstytucję z r. 1588, król przy czytaniu wyroku obecnym być nie może i że odczytania dekretu „dla powagi sądu i tak ważnej materji" podjąć się winnien *marszałek w. k., jako przewodniczący sądu sejmowego.*

Dla spóźnionej pory przeznaczono do publikacji wyroku dzień następny.

Gdy nazajutrz sąd sejmowy zebrał się w komplecie i oskarżonych wprowadzono, marszałek w. k. po krótkiem przemówieniu fesował dekret *ex scripto*. Ukarano winnych jako następuje: herszta Kazimierza *Pułaskiego* i fizycznych sprawców zbrodni królobójstwa, Stanisława *Strawińskiego* i Walentego *Łukawskiego*, uznajemy winnymi zbrodni obrażonego królewskiego majestatu i jego gwałcicieli, napastników osoby królewskiej i ojcobójców, pozbawiamy na wieki honorów, czci i wszystkich przywilejów, przysługujących stanowi rycerskiemu, ogłaszamy ich bezecnymi i pozbawionymi zaszczytów, a ich infamję głosem trąby przez woźnego ogłosić polecamy.

Ponieważ jednak trzej owi bezecni powinni być nietylko pozbawieni honorów i czci, lecz i ciała ich, jako narzędzia sromotnej zbrodni, okrutnym karom poddane być muszą, przeto, chociaż za tak wielką zbrodnię na kary o wiele większe i surowsze zasłużyli, za wstawieniem się królewskiego majestatu u naszego sądu, skazujemy zostającego w więzieniu Łukowskiego i zbiegłych Puławskiego i Strawińskiego na karę śmierci przez ścięcie. Ręce ściętych zbrodniarży, odłączone od ciała, mają być wbite na pal przy drogach publicznych i po niejakim czasie spalone, a popioły na wiatr rozwiane, ciała zaś zaraz po ścięciu rozćwiartowane, spalone i na wiatr rozwiane. Wykonanie tej egzekucji na uwięzionym Łukawskim pozostawia się marszałkowi w. k., na zbiegach Pułaskim i Strawińskim jakiemukolwiek urzędowi, chociażby wiejskiemu, któryby ich dostał w swe ręce.

...Co się tyczy Jana *Kuźmy*, który na podobne kary, jak Stawiński, Puławski i Łukawski, słusznie za-

sługuje, jednak, ponieważ z wyniku skrutyniów i zeznań jego widoczna, że po tych wszystkich Królowi wyrządzonych obrazach tłuszcze zbrodniarzy od odebrania życia Królowi powstrzymał, a potem, z własnej chęci, wyznając swoją zbrodnię, do nóg Królowi upadł, i mogąc uciec, opuścić Króla nie chciał, lecz go do młyna, zaprowadził i tamże strzegł, dopóki powóz i oddział wojska nie przybył, dlatego, chociaż o właściwej przyczynie jego późniejszego zachowania się wiedzieć nie możemy, czy to dla cnoty chęci i ocalenia Króla czynił, czy też obawą kary się powodował, przecież, dla przyczyn poprzednich, tegoż Jana Kuźmę od śmierci uwalniamy, mimo to jednak tego człowieka, który tak szkaradną zbrodnię w umyśle swym uwiązał, a nawet gwałtownym napadem wykonać się odważył, jako potwór natury, niegodny życia na tej ziemi i oddychania polskiem powietrzem, na wieczne wygnanie z Królestwa Polskiego i prowincyj przyłączonych skazujemy, i wydalić go kosztem skarbu publicznego do granic Królestwa jak najrychlej polecamy, postanawiając, że pod żadnym pozorem do dzierżaw Rzeczyplitej powrócić i granic jej przekroczyć nie może, gdyby bowiem na to się odważył, schwytany i przez jakikolwiek urząd, nawet wiejski, śmiercią, w myśl konstytucji z r. 1588, bezzwłocznie ukarany zostanie.

...Co się tyczy Józefa *Cybulskiego,* współwinnego zbrodni królobójstwa i fizycznego sprawcy, uznajemy go również winnym zbrodni obrazy majestatu i pozbawiamy na wieki honoru, czci i prerogatyw, służących stanowi rycerskiemu, ogłaszamy go infamisem i czci pozbawionym, polecając publikację tej infamji głosem trąby przez woźnego, jego zaś samego skazujemy na

ścięcie i względem wykonania tej egzekucji jurysdykcji marszałkowskiej oddajemy.

...Co się tyczy osób Walentego *Peszyńskiego* i Teodata Frankenberga czyli *Offenberga*, chociaż z własnowolnych zeznań i wyniku skrytuniów okazuje się, że Walenty Peszyński nie był w liczbie sprzysiężonej zgrai, lecz był użytym tylko do strzeżenia wozów i w samym zamachu nie miał udziału, gdyż trunkiem upojony w stajni OO. Dominikanów na Nowem Mieście pozostał, a Teodat Frankenberg czyli Offenberg, nie z własnej woli, lecz przymuszony i podstępem Łukawskiego wzięty, nie miał również udziału w tym zamachu, to jednak, ponieważ sprzysiężenie królobójców im wiadome utrzymywali w tajemnicy i, komu należy, o niem nie donieśli, przeto ich zaszczytów i czci pozbawiamy, i, ogłaszając bezecnymi, publikację imfamji głosem trąby przez woźnego nakazujemy i na dożywotnie więzienie, połączone z pracą przymusową, w twierdzy Kamienieckiej skazujemy, polecamy wywiezienie ich do tej twierdzy kosztem skarbu publiczego.

...Co się tyczy Michała *Tubałowicza i Stączewskiego*, współwinnych zbrodni królobójstwa, już w więzieniu zmarłych, gdy występne ciała tych zbrodniarzy, już w proch rozspypane, karom za zbrodnię królobójstwa poddane być nie mogą, przeto postanawiamy, aby nazwiska ich, wieczną infamją napiętnowane, na tablicach z opisem zbrodni przez nich popełnionej wypisane, na szubienicy zostały powieszone.

EGZEKUCJA.

Wyrok wydany na zmówionych nie oznaczył dokładnie dnia egzekucji, postanawiając tylko ogólnie, że

w przeciągu dwu tygodni ma być wykonaną. Skazanym na śmierć, Łukawskiemu i Cybulskiemu dodano spowiedników celem przygotowania ich na śmierć. Dnia 9-go września odbyli Łukawski i Cybulski spowiedź przed księdzem Aleksandrowiczem, oficjałem warszawskim, i przyjęli z rąk jego komunję. Po jej przyjęciu upraszał Łukawski swego spowiednika, aby za popełnioną zbrodnię, za którą głowę oddać ma, uprosił dla niego przebaczenie u króla, senatorów, ministrów i sędziów. Tego samego dnia publikowano głosem trąby infamję przeciwko tym wszystkim, którzy na utratę czci zostali skazani, na rynku Starej i Nowej Warszawy, przed bramą Krakowską, Nowomiejską i św. Krzyżem, a marszałek w. k., któremu sąd sejmowy wykonanie egzekucji na skazanych poruczył, odebrawszy odpis wyroku sądowego przez swego instygatora, zaopatrzył go krótkiem poleceniem, „*exequitur 10 Septembris 1773*" i swoim podpisem. Dnia 10 września miała tedy nastąpić egzekucja.

Względem jej przeprowadzenia wydał marszałek w. k. jeszcze dnia poprzedniego następującą egzekucję[1]):

„Dnia *10 Septembris*, z rana o godzinie 6., powinno zajść przed więzienie wielkie marszałkowskie wózków parokonnych najętych furmażskich trzech. Jan Kuźma o tejże godzine z Zamku pod wartą marszałkowską powinien być do tegoż więzienia przyprowadzony w łańcuszku.

O tejże samej godzinie, aby 100 żołnierzy, oprócz oficerów i unteroficerów, chorągwi węgierskiej[1]) stanęło

[1]) Marszałek w. k., w którego ręku skupiła się w Warszawie pełnia władzy bezpieczeństwa, miał pod swemi rozkazami chorągiew pieszą węgierską, liczącą około 130 ludzi, która była jego strażą policyjną. Żołnierzy tej chorągwi zwano „Węgrami, Kru-

przed więzieniem, z bronią nabitą, z nastosowanemi bagnetami, których JMĆ Pan Rotmistrz komenderować ma. Ichmć ks. ks. Kapucyni do godziny najdalej 7. z rana pokończą z dekretowanemi dyspozycję duszy. O godzinie 7. *praecise* więźniowie dekretowani już powinni być ubrani podług zwyczaju w kordygardzie, na dole. O tejże godzinie Cybulski i Łukawski, oddani Mistrzowi, podług zwyczaju powinni być ze związanemi rękoma wyprowadzeni pod wartą, wsadzeni każdy do wózka, t. j. Łukawski na jeden z księdzem, Cybulski na drugi także z księdzem, Kuźma, Peszyński i Frankenberg w łańcuszkach na trzeci wózek.

Od więzienia połowa pułku IMĆ Pana Byszewskiego pojedzie naprzód z oficerem. Za niemi trzy wózki, w koło których wózków stu żołnierzy chorągwi węgierskiej, z oficerami dwoma i unteroficerami, za komenderowaniem na koniu JMĆ Pana Rotmistrza, pójdzie. Za wózkami druga połowa komendy pułku JMĆ Pana Byszewskiego z oficerem.

Prowadzenie będzie temi ulicami: z Mostowej ulicy bramą Nowomiejską przez miasto, Krakowską bramą na ulicę Senatorską, z ulicy Senatorskiej ulicą Miodową, z Miodowej na Długą, wedle Zeughauzu przez most i, wedle placu JW. Wojewodzinej mińskiej, na Nalewki. Z Nalewek na Pokorną ulicę, koło ogrodu JMĆ Pana Fontany. Z Pokornej do samego placu. Przy prowadzeniu, aby nikt z dekretowanymi nie rozmawiał prócz księży; da baczność na to JMĆ Pan Rotmistrz. Felczer przytomnym być powinien, tudzież wino i woda;

---

kami, Kurpikami"; słynęli oni ze zręczności w chwytaniu przestępców. (Ob. Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta, Kraków 1885. Tom IV, cz. I, str. 176).

aby w czasie słabości którego dekretowanego, ratunek natychmiast był dokładny.

Ichmość Panowie instygatorowie, Staniszewski i starszy Zawadzki, mają być na koniach przy tem prowadzeniu i ceromoniale. Młodszy zaś Zawadzki i JMĆ Pan Czerski mają być także na koniach przy U. JMĆ Panu Sędziu.

Gdy do pałacu przyjadą, tam już zastaną 480 żołnierzy od gwardji pieszej koronnej, w kwadrat *theatrum* otaczających, gdzie do miejsca kobylicami oznaczonego, wózki z więźniami i wartą marszałkowską wnijdą. Komenda zaś pułku JMĆ Pana Byszewskiego po bokach otoczy te kobylice.

Na *theatrum* naprzód Łukawski wprowadzony i podług obmowy dekretu egzekwowany będzie, t. j. ścięty, ręce obydwie po śmierci ucięte i odłożone na bok, dla zawieszenia na palach przy gościńcach publicznych, kadłub zaś sam poćwiartowany i na stos, przez milicję miejską otoczony, wraz z głową wrzucony i podpalony być ma. A gdy stos podpalony będzie, Mistrz powróci na *theatrum*, sprowadzi z wózka Cybulskiego i zetnie na *theatrum*, którego ciało w trumnę gotową włożone i na cmentarzu któregokolwiek kościoła pogrzebione być ma.

Po egzekucji Cybulskiego, Mistrz oddane sobie przez woźnego duże tablice z napisem imion i przezwisk zmarłych królobójców, Tubałowicza i Stączewskiego, przeczytaws, powzyiesić ma na szubienicy. Po skończonej egzekucji, Kuźma, Peszyński i Frankenberg odprowadzeni będą do więzienia marszałkowskiego, z którego potem Kuźma do Zamku odprowadzonym będzie.

Gwardja zaś za sprowadzeniem Kuźmy, Frankenberga i Peszyńskiego z placu ruszy do koszar,

a milicja miejska, tudzież dwu instygatorów, Zawadzki i Staniszewski, zostanie się aż do zupełnego spalenia, po którem spaleniu Mistrz prochy na powietrze rozsypać powinien.

Nazajutrz zaś tenże Mistrz ręce Łukawskiego na dwu palach powiesi opodal przy trakcie Zakroczymskim, któremu dla bezpieczyństwa 12 żołnierzy JMĆ Pan Rotmistrz chorągwi węgierskiej laski w. k. komenderować będzie, i Staniszewski Instygator być przytomnym ma, a za dalszą potem dyspozycją też ręce odjąwszy, tamże spali i proch na powietrzu rozrzuci".

Osobną dyspozycję otrzymał także mistrz warszawski co do wykonania egzekucji.

Gwardja piesza koronna otrzymała rozkaz marszałkowski, aby dnia 10-go września, już o godzine 5-tej z rana, odkomenderowała 40, a o godzinie 8-mej 540 ludzi na plac egzekucji celem przestrzegania porządku, i na *theatrum* nikogo nie wpuszczała, oprócz ludzi do egzekucji potrzebnych. Po nadejściu wózków z delikwentami miała się usunąć za kobylice i „stać paradą".

Przednią straż pochodu tworzyć miał oddział pułku Byszewskiego z nabitą bronią, pod komendą porucznika Wierzbickiego, który w przypadku jakiej okoliczności „referować się miał i być pod subordynacją JMĆ Pana Sędziego marszałkowskiego, tamże przytomnego".

Rusztowanie wybudowano na obszernem placu niezabudowanym między stawkami a Zeughauzem, naprzeciwko ulicy Inflanckiej, niedaleko od tego miejsca, kędy spiskowcy porwanego króla przez okopy przeprowadzili.

Między godziną 8. a 9. rano rozpoczył się pochód na miejsce stracenia. Delikwenci, przybrani w śmiertelne koszule, siedzieli na wózkach, a Cybulski w swej

trumnie, mając każdy przy boku ks. kapucyna. Wedle dyspozycji marszałkowskiej prowadzono ich temi samemi ulicami, któremi nieszczęsnej nocy dnia 3-go listopada 1771 uprowadzili króla. Kuźma, Peszyński, Frankenberg i Łukawska towarzyszyli na trzecim wózku temu pochodowi śmierci. Zauważono podczas tego pochodu, że Kuźma zakrywał swą twarz, unikając wzroku widzów.

Gdy pochód stanął na miejscu, gwardja marszałkowska otoczyła rusztowanie, a obok ustawiła się milicja miejska. Dla bezpieczeństwa zatoczono nawet działa na plac egzekucji, na którym zebrało się do 20.000 widzów

Mistrz przystąpił do dzieła.

Łukawski, prowadzony przez towarzyszącego mu ks. kapucyna, wstąpił pierwszy na rusztowanie. Zachował on do ostatniej chwili zimną krew, wzbudzając podziw dla swej rezygnacji. Zwróciwszy się do publiczności, otaczającej rusztowanie, mówił, że przyznaje się do winy i prosi Boga i Ojczyznę, o przebaczenie dla siebie i przyjąwszy od towarzyszącego mu Kapucyna ostatnie słowa pociechy, nie pozwolił katowi oczu sobie zawiązać, lecz usiadł spokojnie na przeznaczonem miejscu, poddając głowę pod cios śmiertelny.

Po ucięciu głowy odciął mu kat ręce i poćwiartowawszy tułów, złożył jego części na podpalonym stosie.

Cybulski, patrzący z bliska na to krwawe widowisko, wstąpił po nim na rusztowanie i zachował także wiele zimnej krwi. Do publiczności nie przemawiał, przed straceniem pozwolił sobie zawiązać oczy.

Po zakończeniu egzekucji Łukawskiego i Cybulskiego, mistrz warszawski przemówił do zgromadzonej publiczności, upominając rodziców, aby swe dzieci

dobrze wychowywali i chronili przed podobnym smutnym końcem.

Odczytaniem wyroku, zapadłego na Tubałowicza i Stączewskiego, i powieszeniem tego wyroku na szubienicy zakończył mistrz warszawski swoje funkcje z dnia 10 września. Nazajutrz powiesił ucięte ręce Łukawskiego na drodze publicznej i rozwiał jego popioły.

ŚWIĘTOKRADZTWO W KRUPIŃCACH

Henryk Niemirycz był jedynym synem bogatego Niemirycza, podkomorzego owruckiego. Gdy po śmierci ojca spadł na jedynaka znaczny, bo kilka miljonów stanowiący majątek, — matka jego, z domu Krzucka, opiekując się nim w samym kwiecie młodości, wyszła powtórnie za Walentego Łaźnińskiego, łowczego wielkiego Koronnego, z którym nie miała potomstwa. Stąd więcej jeszcze otaczając pieszczotą jedynaka, chciała mu świetny los zapewnić przez wychowanie wcale nie szlacheckie, lecz jakie tylko ton ówczesnej arystokracji uznawał za najwytworniejsze. Otaczała go cudzoziemcami pod naczelnictwem Francuza, który nauczył go nie tylko mówić, ale i wierzyć po swojemu. Duchem przeto Woltera przejęty, szydził młodzieniec z tajemnic naszej wiary. Gdy dorósł lat zupełnych i objął ojczyste dobra, natychmiast zamieszkał w Warszawie, skąd oficer wojsk koronnych, Franciszek Łaźniński, późniejszy znakomity generał, pisywał o nim do jego ojczyma, a swojego krewnego, Walentego Łaźnińskiego, że Henryk Niemirycz świetne ma powodzenie po stołecznych salonach, że ukształcenie wedle mody i śmiałość w zasadach dają mu tam przystęp, a nadto, że, dowiedziawszy się o czwartkowych u króla obiadach dla uczonych tylko, postanowił iść na wyścigi z królem i przez rok cały daje codziennie na sto osób obiady. Tak marnie strwoniwszy Henryk Niemirycz cały swój majątek, wyniósł z Warszawy tę jedną korzyść, że stał się zna-

nym dla niektórych dygnitarzów koronnych, wojewodów i kasztelanów. Gdy wrócił na Wołyń, gniazda niegdyś magnatów, nie mając własnego przytułku, wałęsał się po ich domach, znanych mu w stolicy. W ostatku, złączywszy się z niecnym Kajetanem Miączyńskim, przybył z nim raz blisko granicy austrjackiej do pani Igelstromowej, przy której bawiła piękna jej siostra. Było to w sobotę przed niedzielą kwietną. — Nazajutrz, przy obfitem, a wesołem śniadaniu, gospodyni rada gościom, którzy podzielają jej we wszystkiem przekonanie, odezwała się żartem:

— Słuchajcie panowie! Gdy my swobodnie bluźnimy przeciw Kościołowi, oto w tejże chwili dzwony tuż obok powołują lud Boży, aby się bił w piersi za winy i szukał ich rozgrzeszenia.

Niemirycz na to:

— A prawda! Mówiono mi, że u pani jest kościół parafjalny. Cóż nam przeszkadza, choć wprawdzie po śniadaniu, ale czystymi na sumieniu, przystąpić z ludem Bożym do komunji? Bo co do spowiedzi, już ją dziś dopełniliśmy pomiędzy sobą.

— Brawo, brawo! — śród śmiechu zgodnie zawołano. Wnet pojazdy już były gotowe. Przybyto do kościoła. Pani Igelstromowa, jej siostra i Miączyński usiedli w ławce, gdzie dla nich tylko znalazło się miejsce; a Niemirycz usiadł po drugiej stronie ławek przy nieznanej damie, modlącej się z książki; przy tej zaś ławie, tuż obok Niemirycza, klęczał głośny z żarliwej pobożności pan Falkowski, skarbnik łucki, w kontuszu i z karabelą przy boku. Niebawem na odgłos dzwonka przy ołtarzu owa dama przyklęka, uchyla głowę i bije się w piersi. Niemirycz pyta:

— Co to jest?

— Biorą Przenajświętszy Sakrament.

Rzucił okiem i widzi klęczące całe swoje towarzystwo. A więc spieszy do nich, przyklęka i przyjmuje zkolei komunję. Wróciwszy do swej ławki, gdzie dama z pamięci już się modli, bierze jej książkę i pomiędzy kartki z ust wypuszcza komunikant. Wtedy skarbnik Falkowski, zerwawszy się z kolan, dobył pałasza, grozi nim i woła na cały kościół:

— Kacerstwo! Herezja! Zdeptanie świętej wiary naszej! Potępiony niech będzie przeklęty bluźnierca! Śmierć jemu na duszy i ciele!

Miączyński, trafnie domyślając się, że ten głos powstał przeciw jego koledze, spieszy ku niemu i szepce:

— Umykaj rychło poza ławkę pod ścianą, bo mogą cię schwycić!

Winowajca, przepuszczony przez damę, uszedł szczęśliwie. Dostał się do swego powozu przed kościołem i, jako nad granicą niedaleko od Brodów, tam wkrótce już bezpieczny stanął.

Tymczasem w Łucku po formalnej delacji, uczynionej przez skarbnika Falkowskiego, tak do akt grodzkich jako też do diecezjalnego biskupa, rozpoczął się kryminalny proces przeciw Niemiryczowi. Sąd składał się z senatorów i biskupów. Instygatorem w tej sprawie był wyznaczony podczaszy wielki koronny, Michał Czacki, brat starszy Tadeusza. W ciągu procesu nikt z familji, ani z mniemanych przyjaciół nie śmiał wstawiać się za bezbożnym. (Mówił dotąd Sz. Konopacki).

Dochodzenia sądowe ustaliły istotę czynu Niemirycza. Najpierw uczynił to sąd duchowny konsystorza w Łucku, ogłaszając:

„*Przewód prawny* konsystorza polskiego w Łucku z dnia 14 Semptembris 1785 naprzód według prawa duchownego, potem zaprzysiężonemi świadectwy o bezbożnem bluźnierstwie i szydzeniu tajemnic religji katolickich jako i sakramentalnych świętości pogardy wykonaniem — Wielmożnego Henryka *Niemirycza*, wiekami niesłychanego apostatę — zupełnie przekonywujący.“

Ważniejsze ustępy przewodu dajemy poniżej w przekładzie z języka łacińskiego:

„...Jako Wielmożny Henryk Niemirycz, w religj katolickiej urodzony i wychowany, w dniu 23 marca 1785 roku, wypiwszy napój kawą zwany i wcale nie naczczo, do kościoła parafjalnego w Krupińcach przybył, tutaj okazawszy publiczne wiary św. lekceważenie do sakramentu spowiedzi przystąpił, po której dokonaniu bezbożnie ten sakrament wobec znanych sobie osób wyszydzał, a strofującemu go kapłanowi żartami odpowiadał. Zaczem wobec ludu na mszę św. zgromadzonego nieskromną rozmową, śmiechami i dyskursami oraz niezwyczajną rozpustą zabawiał się. Potem od dostojnej osoby książki do modlenia pożyczył, twarz śmiechami wykrzywiwszy, okazałe gesta wielkiej pobożności udawał, innych do śmiechów pociągając z wielkiem obecnych zamieszaniem i miejsca świętego obrazą. Potem widziano, jako Wielmożny Henryk Niemirycz, płochą ciekawością wiedziony, do konfesjonału przystąpił i tamże ucho potajemnie przyłożywszy, spowiedź dziewic p[illegible] bożnych podsłuchiwać usiłował. *Subinde* po [illegible] obrazie majestatu kościoła poszedł do wielkiego ołtarza, gdzie św. komunji udzielano. Tu wraz z innymi klęknąwszy, kolei swojej oczekiwał. Poczem hostję św. z rąk kapłana przyjął, przełknąć jej nie odważył się,

lecz natychmiast od ołtarza odstąpił i, wróciwszy do ławki, tąć hostję św., w bezbożnych ustach trzymaną, wypluł świętokradzko w książkę, którą w ręku dzierżył. Zaczem szydząc z Boga, w Najświętszym Sakramencie ukrytego, hostję świętą, z bezecną śmiałością w książce porzuconą, wszystkim pokazywał".

„Zdziwieni najokropniejszym świętokradztwa występkiem i najcięższą bezbożnością przerażeni — wierni opuścili zbrodniarza natychmiast. Inni zaś głośno ganili heretycką zbrodnię Wielmożnego Niemirycza. On zasię wyszedł z kościoła i hostję św. z sobą w książce wyniósł i bezbożnemi rękoma obrażał. A gdy go zacni i w gorliwości w wierze św. znani mężowie ostro napominali, pytał ich, czyli prawdą jest, że takowych, którzy owo świętokradztwo popełnili, zły duch *statim* porwie, lub ziemia rozwarta pochłonie? Albowiem on, wolny od kar obiecywanych, dotąd żywie!"

„Gdy nikt nie ośmielił się dotknąć książki, w której Wielmożny Niemirycz hostję ukrył, ani też św. religja nie zezwalała nikomu tknąć rękoma Boga samego, pod postacią św. Eucharystji ukrytego — Wielmożny Niemirycz, wsiadłszy do powozu swojego, wydobył hostję św. z książki i takową spożył. Potem przybył na zamek w Krupińcach z książką, na której kartach porozrzucane i zhańbione tkwiły resztki św. Eucharystji i przyznał się otwarcie do spełnienia obrzydliwej zbrodni wobec obecnych tamże osób. Wkońcu, aby uniknąć dekretu i wyrzutami sumienia dręczony, wymknął się niespokojny w obce granice, naprzód pieszo, potem na koniu, napotkanym po drodze. Zbrodnia owa niesłychana nietylko w parafji Krupinieckiej, ale indziej szeroko z publicznem zgorszeniem rozpowiadaną była,

tak, iż jej żadnemi wykrętami zataić nie zdołano. Z okoliczności czynu popełnionego sądząc, Wielmożnego Niemirycza straszliwej zbrodni świętokradztwa i blasfemu winnym uznaliśmy i klątwę ekskomuniki w katedrze łuckiej i wszystkich kościołach z ambon i wywieszonemi cedułkami ogłosić postanowiliśmy".

Michał Augustynowicz,
notarjusz apostolski konsystorza generalnego
w Łucku aktuarjusz mp.

Z sądu duchownego przeszła sprawa Niemirycza przez trybunały świeckie. Wniósł najpierw manifest świadek zbrodni W-ny Jerzy Falkowski „przeciw złośliwym religii katolickiej wzgardzicielom, żądając, aby nastąpiło „przyspieszenie kadencji sądzenia kryminału", na skutek czego

„*die 6 februarii* 1786 sąd grodzki łucki, rozsądzając pozew od strony powodowej... do sądu swego wyniesiony i sporów zapadłych wysłuchawszy... Henryka Niemirycza, szkaradzącego bezbożnym zapędem tajemnicę ciała i krwi Chrystusowej po zapadłej klątwie do sądu świeckiego na kary cielesne odesłał".

Świętokradcę skazano zaocznie na infamję i karę „chociaż okrutną, lecz występkowi, dorównać nie mogącą".

Brzmiał wyrok na Niemirycza jak następuje:

„Józef na księstwie koreckim, Kalwarji i Oleksińcu ks. Czartoryski, stolnik W. X. lit. łucki starosta.

Urodzonemu Henrykowi Niemiryczowi, na karę cielesną dekretem komisji łuckiej odesłanemu do sądu świeckiego, zbiegowi pozwanemu z osoby i dóbr — powagą J. K. Mości, a moją starościńską przykazuję władzą:

Abyś przed sądem moim grodzkim w Łucku wtenczas, gdy sprawa ta przypadnie, sam oblicznie

i zawicie stanął na instancję instygatora sądu W. Jerzego Falkowskiego, który miłością praw boskich z powinności chrześciańskiej pozywa do ściągnienia kary, bądź najsroższej, występkowi obelgi majestatu boskiego wszelako niewystarczającej".

Na poskromienie za świętokradzkie świętości użycie... przestępcę zbiegłego, wiarołomcę kościoła chrystusowego i krwi skoligaconej odrodka:

pod miecz katowski ku ćwiertowaniu ciało poddać

i naprzód bluźnierski język żywcem wywlec kazać

po wywleczeniu z grzbietu pasy drzeć ustanowić

za profanację ciała i krwi Chrystusowej też ciało jego w sztuki porąbać

porąbane bestjom drapieżnym na karmią między drogi rozstajne wyrzucić nakazać

majątek jego w podział prawem opisany puścić ustanowić

a tego zbiegłego wszędzie łapać zlecić

nad złapanym wszelkiemu sądowi nietylko wyższych jurysdykcyj, ale majdeburskiemu bądź miejskiemu i wiejskiemu przepisane wykonanie uskuteczniać zlecić i dozwolić

a wszelakie srogości prawa na zapobieżenie podobnym kryminałom w opisaniu sądowego dekretu zachować.

Datum w Łucku roku tysiąc siedemset ośmdziesiąt piątego, dnia dwudziestego drugiego grudnia".

Wtedy atoli Henryk Niemirycz daleko krył się bezpieczny za granicami nietylko Polski. O losach jego opowiada dalej Konopacki:

„Pani Igelstromowa na jego odezwę posłała mu niewielki pieniężny zasiłek, który jednak wystarczył na

podróż do Paryża. Tam zaciągnął się do oddziału wojska francuskiego, który był przeznaczony do Martyniki, gdzie zaczynał służbę od prostego szeregowca. A wówczas gdy na jednej z wysp antylskich dźwigał żołnierski karabin skazano go zaocznie w Łucku na straszliwe męki. Po wielu dziesiątkach lat i po rozbiorach Polski i wojnach napoleońskich wrócił dopiero infamis do kraju.

Gdy później w roku 1826 — kończy opowiadanie Konopacki — ożeniłem się z panną Klementyną Łaźnińską, ojciec jej, jako najdokładniej świadomy dalszych losów Henryka Niemirycza, opowiadał przedemną, że po bogatym podkomorzym Niemiryczu, oprócz syna Henryka, pozostała córka, że ta, wyszedłszy za Wojciecha Łaźnińskiego, brata Walentego, który wprzód stał się jej ojczymem, miała jednego syna, którym był teść mój Łukasz, synowiec i spadkobierca po bezdzietnym łowczym w. koron, — że przeto Henryk Niemirycz był jego wujem, ale zupełnie mu nieznanym, — że ten jego wuj po latach dwudziestu służby wojskowej w Martynice, gdy wziął dymisję już po rozbiorze Polski i przemieszkiwał czas jakiś we Francji, poznał się tam z podróżującym rosyjskim generałem Bawrem, który, uznawszy w nim wysokie ukształcenie, polubił go i skłonił do wejścia w służbę wojskową z zapewnieniem mu tejże rangi majora i wpływów swoich o uwolnienie go od ciężącej na nim w kraju okropnej kary. Jakoż Henryk, wszedłszy na czas jakiś do rosyjskiej służby wojennej, otrzymał od Aleksandra I-go przebaczenie winy przeciw kościołowi. Następnie dymisjonowany, wrócił swobodnie na Wołyń i odwiedzał znane sobie domy ostatnich Rzeczypospolitej dygnitarzy.

Teść mój, będąc raz z wizytą w niedalekim od siebie Tuczynie u Walewskiego, wojewody sieradzkiego, zastał tam nieznanego sobie starca. Wojewoda, po przywitaniu gościa, zapytał go:

Panie Łukaszu! Czy nie poznajesz, kto to jest? Wszak to brat rodzony twojej matki.

Nastąpiło rzewne poznanie się, po którem pan Łaźniński najsilniej prosił wuja, aby raczył zamieszkać u niego.

— Nic z tego nie będzie — rzecze mu — bo waćpan będziesz mu wymawiał dany przytułek i kawałek chleba...

Z tem wszystkiem, w kilka tygodni później dokuczyło mu widać wycieranie cudzych kątów, gdyż przyjechał do siostrzeńca i zamieszkał w oficynie. Tam mu przynoszono jedzenie i ulubione trunki, których nadużywał, mianowicie wódki. Wpadłszy w nałóg pijaństwa, mocno zachorował. Sprowadzony doktor medecyny, uznał bezskuteczność leków, bo wewnątrz była już gangrena. Pani Łaźnińska wezwała księdza z Hulery. Zaledwie przybył, Niemirycz doń w te słowa:

— A ty co tu? Precz z oczu! Ja mógłbym cię lepiej niż ty mnie nauczyć!

Ksiądz cicho zniósł zniewagę i odjechał. Ale w pół godziny, gdy silne bóle wewnętrzne zaczęły się wzmagać, chory zaczął krzyczeć:

— Księdza! Księdza!

Zawrócony z drogi kapłan pospieszył, lecz chory utracił już mowę i wśród męki skonał. Było to 1815 r. Pan podkomorzy Łaźniński pochował wuja swego przy parafjalnym kościele we wsi Tajkurach, na tamtejszym katolickim cmentarzu i wzniósł nad nim pomnik ze złamaną kolumną”.

ZAMUROWANA W KLASZTORZE

W r. 1807 gdy wojska cesarza Napoleona zajęły Lublin, dywizja gen. Zajączka przyjść miała na zimowe leże. Major Zabłocki wysłany został dla upatrzenia budowli dogodnej na lazaret wojskowy. Na ten cel władze miejskie przeznaczyły gmach dostatni, którym był słynny klasztor PP. Wizytek, brakowało atoli miejsca dla składania trupów, które wedle ustaw wojskowych dopiero po upływie dni kilku od śmierci pogrzebione być mają. Wówczas major Zabłocki, który wraz z doktorem Lafontaine oglądał wszystkie izby i zabudowania, dostrzegł niewielką budowlę, jakoby basztę przymurorowaną do ścian klasztoru z małem okienkiem i kratą u góry. Zażądał, aby mu ową basztę wydano na trupiarnię i prosił o pozwolenie obejrzenia jej wewnątrz.

Ksieni klasztoru oparła się żywo temu żądaniu, co zwróciło już uwagę majora.

Nagle do uszu jego dobiegł pisk dziwny i przeraźliwy, dochodzący, jak się zdało, z zakratowanego okienka.

— Co to jest? zawołał Lafontaine.

Zmieszana ksieni wyrzekła:

— To są tajemnice klasztoru.

— Jakież tedy są one? znów pyta Lafontaine, zaciekawiony odpowiedzią panny starszej.

— Tych badać nikomu nie wolno — odrzekła z pewnym rodzajem powagi i dumy.

— Kiedy pani tak mówisz, to ja je poznam i poznać muszę — którędy miejsce do tej baszty, proszę o klucze?

Ale panna starsza stanowczy stawiła opór, oświadczając, że tajemnice klasztoru nie należą do sądu świeckich ludzi.

Uniesieni gniewem i zdjęci ciekawością doktór i major zagrozili, że żołnierzom każą drzwi jedne po drugich odbijać. Jakoż niedługo bawiąc, wszystko przygotowano po temu. Przełożona klasztoru, widząc, że wszelki upór daremnym będzie, wskazała wnijście ukryte ze sieni klasztornej i oddała klucz od drzwi żelaznych.

Lafontaine szedł sam naprzód, ale jakież jego było podziwienie, kiedy za otwarciem ujrzał wśód kupy śmieci i gnoju istotę podobną do ludzkiej postaci okrytą łachmanami z włosami do ziemi długiemi.

Istota ta na widok nieznanych postaci piszczeć i krzyczeć zaczęła. Zaczerpnąwszy powietrza, upadła w stan konwulsyjny. Przerażeni tak nadzwyczajnym widokiem, doktór z majorem, nie mogąc wśród ciemności rozeznać dokładnie wszystkich przedmiotów, polecają natychmiast przynieść światło. Za wniesieniem światła nieszczęśliwa ofiara więzienia pada i mdleje. Znajdują, że jest kobietą. Wyniesiono ją do wygodnej celi, a przywrócona do przytomności i przybrana przyzwoicie okazuje piękne rysy twarzy, na których okropna boleść i długoletnie męczarnie wyryły piętno swoje. — Nic mówić nie chciała, czytać i pisać zapomniała. Badania nierychło wykryły prawdę.

Jedni powiadali, że to córka zamożnej i bogatej rodziny, która uniesiona pierwszem uczuciem miłości, zapomniała się. Uwiódł ją, przekonawszy wpierw, że

żadnym dobrowolnym sposobem dumni rodzice na Związek nie pozwolą. Wkrótce skutki tej namowy okazały się widoczne, a biedna istota zawiedziona w swoich nadziejach wraz z kochankiem została!

Srogi ojciec w uniesieniu o mało życia jej nie odebrał: ubłagany nareszcie przez wijącą się u nóg żonę, posag jej oddał klasztorowi zakonnic w Lublinie z warunkiem, aby ją zamurowano i żywiono chlebem i wodą.

Dopełniono tego barbarzyńskiego rozkazu: nowonarodzone dziecię znikło — narzeczony umarł z rozpaczy — młoda kobieta przetrwała w tem więzieniu lat kilkanaście. Opadły ją szaty, zarosły paznogcie długie, pozbawiona wody do umycia, sprzętów wszelkich, nieczesana, wśród barłogu i gnoju — przeżyła nieboga, za jedną chwilę pokutując, — dnie, miesiące i lata.

Drudzy opowiadali inaczej, że zamurowana była zakonnicą i za przekroczenie ślubu czystości skazaną została przez konsystorz dwoma jednozgodnemi dekretami na zamurowanie żywcem. Stało się to jeszcze w r. 1789. Ośmnaście lat wytrwała w tym grobie, powolnej oczekując śmierci. Już w drugim roku zamknięcia dostała pomięszania zmysłów. Pobożne okrucieństwo siostrzyczek wywierało swoją srogość jedynie na ciele, mogącym odtąd, dla braku uczucia moralnego, silniej jeszcze opierać się katuszom. Przez czas niewoli zmieniły się dwie przeorysze u PP. Wizytek. Jedna drugiej zamurowaną, jak sprzęt martwy przekazywała.

Nazwisko nieszczęsnej później ujawniono. Mówiono zrazu, iż zwała się ona Urszula Morska, okazało się wszelako, iż prawdziwie jej imię brzmiało Fremiota *Grabowska* i że była ona obłóczoną siostrą zakonną.

Za karę przeniesiono wkrótce PP. Wizytki do Karmelitanek, gdzie miały niewygodne pomieszczenie. Zaś Fremiota Grabowska, ocucona powoli przez Lafontaine, przyzwyczajoną została do ciepłych pokarmów: po długich staraniach zaledwie przypomniała sobie naukę czytania i pisania, ale bardzo mało mówiła; ciągle tylko się modliła i wkrótce — pomimo pieczołowitości i macierzyńskich starań, jakich w domu szlachetnego doktora Lafontaine w Warszawie doznawała, świat ten opuściła.

OBJAŚNIENIA.

Opowiadania wybrano ze źródeł następujących: 1. *Zbrodnia wojewodziny wileńskiej*: Lucjan Siemieński. Zamek białokamieniecki („Wieczornice“, Wilno 1853). — 2. *Spalenie czarownic:* Przyjaciel ludu, Leszno 1835. — 3. *Heretyk na stosie:* Tripplin T. Tajemnice społeczeństwa. Wrocław 1852. Tom III-ci. — 4. *Relacja o zamordowaniu Wyleżyńskiego:* Akt sądowy współczesny drukowany u Tripplina (j. w.) tom II-gi. — 5. *Wina i kara Piotra Makowskiego:* Louis-Wawel J. Początkowe sądownictwo austrjackie w Galicji 1772—1789. Lwów, 1897 str. 169. — 6. *Książe rozbójnik:* Dr. Wacław Mejbaum. O tron Stanisława Augusta. Lwów, Gubrynowicz, 1918. — 7. *Śmierć Wołodkowicza:* Matuszewicz Marcin. Pamiętniki wyd. A. Pawiński. Warszawa, 1876. tom III-ci. Papiery Ambrożego Wejły. Atheneum Kraszewskiego. Żytomierz 1845, tom VI. — 8. *Sprawa Zarębianki:* Opowiadanie Biesiekierskiego (Tripplin, Tajemnice, II). — 9. *Rzeź humańska:* Relacja Pawła Mładanowicza (Obraz Polaków i Polek w XVIII wieku, wydał A. Raczyński. Wrocław 1844). — 10. *Zamach na króla:* Kitowicz A. Pamiętniki. Lwów 1882, tom I. 251—8; mowa króla i szczegóły procesu według: dr. Wł. Ostrożyński. Sprawa zamachu na Stanisława Augusta, Lwów 1891. — 11. *Świętokradztwo w Krupińcach:* Druk współczesny: Zbrodnia Henryka Niemirycza; Szymon Konopacki. Moja druga młodość. Warszawa 1899 I, 74—80. — 12. *Zamurowana w klasztorze:* Marszycki Ksawery. Pamiętnik z lat 1809—1812 (drukowany w monografji) Cz. Jankowskiego: Powiat oszmiański I. 369—70; Wadowski J. A. Kościoły lubelskie Kraków 1912, str. 484; Wójcicki K. Wł. Cmentarz powązkowski. Warszawa 1855. Tom I. str. 56.

SPIS RZECZY.